

DZIŚ

W NUMERZE:

ŚWIAŁOPEŁK KARPIŃSKI – POETA ZAPOMNIANY? ■ ZIEMIA ZYGMUNTA GLOGERA ■
DROGA DO NOWOCZESNOŚCI ■ DLACZEGO BRAK TELEFONÓW? ■ MAKOWIECKI O NA-
ŁOGACH ■ ŚMIERĆ TERRORYSTÓW ■ NOWA POWIEŚĆ EDWARDA SZUSTRA ■ PRZED
ZJAZDEM SDP.

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ■ ■ ■ ŁÓDŹ

ODGŁOSY

ROK XXI NR 9 (1055)
26 LUTEGO 1978 R.
CENA 3 ZŁ

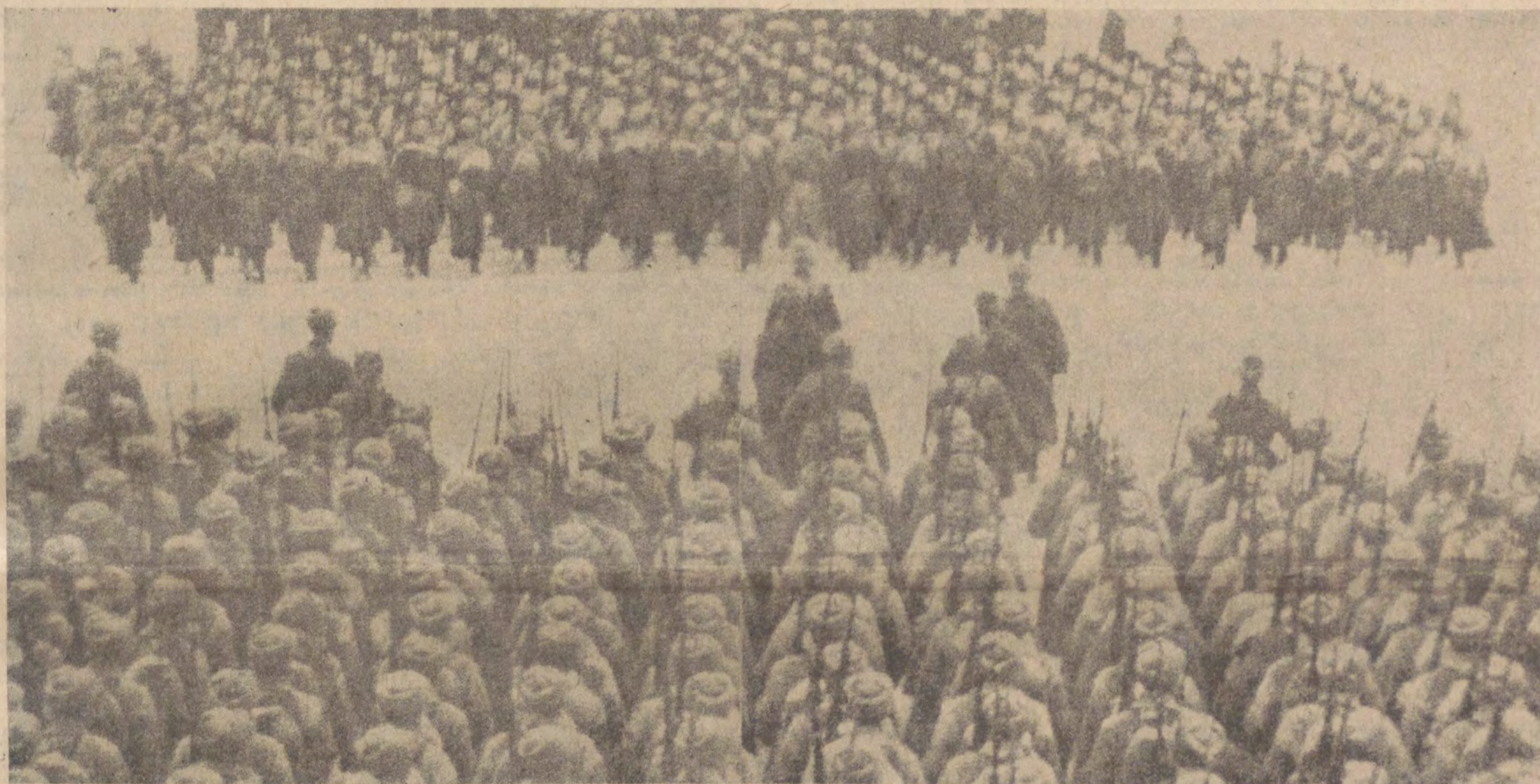


Foto: Archiwum

LEONID I. BREŻNIEW

MAŁA ZIEMIA

Rozpoczynamy druk wspomnień sekretarza generalnego KC KPZR, przewodniczącego Prezydium Rady Najwyższej ZSRR, marszałka Związku Radzieckiego, LEONIDA ILJICZA BREŻNIEWA. Wspomnienia te dotyczą lat drugiej wojny światowej. Czytelnicy znajdą w nich opis walk toczących się w Zatoce Cemesskiej na Morzu Czarnym.

Przekładu wspomnień L. I. Breżniewa dokonał Eugeniusz Iwanicki, według tekstu zamieszczonego na łamach „Literaturnoj Gazety”.

1.

W czasie wojny nie prowadziłem dzienników. Ale 1418 ogniowych dni i nocy nie zapomniałem. I były epizody, spotkania, walki, były takie minuty, które – podobnie jak u innych frontowców – nigdy nie zostaną wymazane z mojej pamięci.

Dzisiaj chcę opowiedzieć o stosunkowo niewielkim odcinku frontu, który żołnierze i marynarze nazwali Małą Ziemią. To rzeczywiście „mała ziemia”, niecałe 30 kilometrów kwadratowych. Ale i wielka, jak może stać się wielką nawet pięć ziemi

zroszona krwią ofiarnych bohaterów. Aby czytelnik dobrze ocenił sytuację powiem, że w dniu desantu każdy, kto przebył zatokę i przemierzył Małą Ziemię otrzymał order. Nie pamiętam przeprawy, podczas której faszysty nie zabijaliby i nie topili setek naszych ludzi. Mimo to na wyrwanym wrogowi przyczółku stale znajdowało się 12–15 tysięcy radzieckich żołnierzy.

17 kwietnia 1943 roku po raz któryś miałem znaleźć się na Malej Ziemi. Datę zapamiętałem dobrze. Myślę, że wielu „małoziemców” jej nie zapomni: w tym dniu hitlerowcy rozpoczęli operację „Neptun”. Już sama nazwa świadczy o ich planach: postanowili zepchnąć nas do morza. Wiedzieliśmy, że przygotowano natarcie rozstrzygające, generalne.

I moje miejsce było tam, na przedniej pozycji, na przedmieściu Noworosyjska cyplem wrzynającym się w Zatokę Cemeską, na wąskim kawałku Malej Ziemi.

Dalszy ciąg na str. 3



Foto: Archiwum

TADEUSZ GIGCIER

RODEM Z JEŻEWA

Ten tytuł jest nieścisły. Człowiek, o którym chcę mówić, nie przyszedł na świat w Jeżewie. Można jednak przyjąć, że to, co stało się dziełem jego życia, tutaj właśnie zaczęło kielkować.

Jeżewo leży u rozwidlenia dwóch ważnych dróg, prowadzących z Białegostoku: jednej do Łomży, drugiej do Warszawy. Jadąc tą drugą drogą łatwo dostrzec w nieznanym oddaleniu zwalisk budowlę, o której sędziwym wieku świadczą pokruszone gonty i poczerwiałe cegły. Gdy oglądam ją z bliska, stwierdzam z niejaką melancholią, że „zqb czasu” nie okazał się dla niej łaskawy. Jest to dawny browar, którego dach zapadł się pośrodku, jakby wgnieciony jakąś mocarną dlonią. Więc melancholię wypiera sprzeciw: przecież to zażytek, ubiegłowieczny obiekt przemysłowy, do tego związany z niebyłajakim nazwiskiem, bo z nazwiskiem — Zygmunta Glogera.

Po jego dworze nie ma dziś śladu. Został unicestwiony w szczególnych, wręcz karygodnych okolicznościach:

już po ostatniej wojnie, próbowano zaadaptować go na szkołę, nie wem, kto planował tę adaptację, dość, że przy wyburzaniu wewnętrznych ścian budynek runął. Ocalał browar i stary lamus, użytkowany jako magazyn cukrowy. Na frontowej ścianie lamusa widnieją w jednym szeregu jasne owalne plamy. Później dowiem się, że to ślady po płaskorzeźbach przedstawiających głowy antenatów Glogera, które to płaskorzeźby porozbijali w wojnę Niemcy. Strzelali również do portretów rodzinnych, może mścił się za „odstępstwo narodowościowe” ród Glogerów był bowiem niemieckiego pochodzenia, jednakże już przodkowie pana Zygmunta opowiedzieli się za swą nową ojczyzną. Otrzymał prawa szlacheckie, pieczętowali się herbem „Prus”.

Jak już wspominałem, Gloger nie urodził się w Jeżewie. Miejscem jego urodzenia jest Kamionka na Ziemi Łomżyńskiej. Jednak później, po ukończeniu szkół, zamieszkał z rodziną w Jeżewie, majetność nabytą przez ojca i tu spędził znaczną część swego pracowitego życia. A i wówczas, gdy wydzierżawił majątek i przeniósł się do Warszawy, zjeżdżał tu na każde wakacje. Mówił mi o tym Jan Rymśiewicz, starzec 82-letni pamiętający Zygmunta Glogera.

— Od jak dawna mieszka pan w Jeżewie?

— Ja urodzony tutaj i tu urosłem. Syn Glogera, Stanisław był moim rówieśnikiem, mieszkał w Warszawie, ale przyjeżdżał tutaj na lato, to bawiliśmy się razem w sadzie. Pół sadu było w dziedziawie, a pół Gloger zatrzymał dla siebie. Był ogrodnik, stary ogrodnik i były piękne klomby, różyczki, tulipany, ścieżki wypracowane przed domem, dom taki duży: i była stara pani, i panna Zofia... A w tym sadzie, pod koniec lata, to zrywaliśmy zawsze jabłka i gruszek.

— Wiem, że są i bika, które nazywają się „glogierówki”. Czy pan słyszał o nich?

— Czy słyszałem? — pan Jan jest wyraźnie urażony. — Panie, ja te jabłka jadłem. To były najlepsze jabłka. Ludzie mówili, że Gloger je wyhodował, tylko nie wiem, czy on, czy jego ojciec. Szczepił jabłonie.

Rzecz jasna, jabłka wyhodował Jan Gloger, ojciec Zygmunta Glogera, inżynier z zawodu, z zamiłowania — ogrodnik. Wróćmy jednak do opowieści Jana Rymśiewicza:

— Na wsi w tamtych czasach mało kto umiał czytać. Nie było książek, tylko modlitewniki, ale moja matka umiała czytać, to mnie nauczyła. Wiele razy, gdy Gloger przyjechał na wakacje, matka wysłała mnie do niego, żeby mi dał do czytania jakieś polskie książki. „Idź do pana” — powiada, więc myśli poszli z kolegą. Gloger wyszedł na ganek, przywitał się z nami, a jakże, a potem nas pyta: „Czyż wy?” Więc ja mówię, że

Rymśiewicz, a kolega, że Izydora. To dał jemu książkę, kalendarz z poprzedniego roku, a mnie z tego roku. Widocznie bardziej mu się spodobałem.

Gloger miał w domu na górze wielką bibliotekę. A jak przyjeżdżał tutaj na wieś, to zwoził kobiety, kobiety śpiewały, niektóre umiały także proste, wioskowe piosenki, a on to wszystko zapisywał, w książki zstawiał. Potem to ja czytałem te książki, ale to było po wielu latach...

A raz pamiętam, Stanisław zaprowadził nas do lamusa. Ten lamus to było takie muzeum, jeszcze ojciec Glogera zwoził do niego różne rzeczy. Były tam stare meble, obrazy, troję czaszki, różne zbiory wojenne: polska broń, pistolety, szable z polskimi orłami.

A potem jak poszedłem do wojska, Stanisław przejął majątek, ożenił się i go sprzedał, a te zbiory gdzieś wywieził. Był tu jeden pan z Warszawy, mówiłem mu o tych zbiorach i pytałem go, gdzie to się podziało. A on się rozśmiał i mówi: „One nie zginęły, one są”. Są, tylko nie w Jeżewie. Na szczęście, istnieją ludzie stojący na straży zbiorów regionalnych, ba, pomnażający je wszelkimi dostępnymi sobie środkami. Do takich ludzi należy pani Helena Czernekowa. Udoświadczona mi ona do wglądu pieczętowane przechowywane pierwodruki ksiąg Glogera, m.in.: „Pieśni ludu”, zebrane w latach 1861—1891 (na ten okres czasu warto zwrócić uwagę), „Księgi rzeczy polskich”, „Encyklopedia staropolska”, również ilustrowana przez Glogera równym tysiącem rycin, „Geografia historyczna ziem dawnej Polski” oraz „Rok polski w życiu, tradycji i pieśni”.

Byłoby przesadą powiedzieć, że wziąłem do ręki tę ostatnią księgę, a to ze względu na jej rozmiar, grubość i wagę. Ma ona do tego okładki drewniane obiciem płótnem. Nie powiem też, że przeczytałem ją „od deski do deski”. Po prostu przekartkowałem, tropiąc pilnie miejsca, w których Gloger napomyna o dawnych zwyczajach ludowych na Mazowszu i Podlasiu. Pisze tam m.in.:

„...Na tem to Podlasiu, nad brzegami Narwi, w okolicy Tykocina, w domu rodziców moich, wzrastałem jeszcze w owym patryarchalnym stosunku dworu z ludem, odczuwałem z wrzaskiem dziecka jego smutki i wesela, przypatrywałem się obrzędowi i rzywałam, ponieważ brałem w niego udział, pokochałem pieśni starodawne, które na mnie dotąd, gdy je lud zawodzi, wywierają jakiś dziwny urok”.

Nietrudno w tych słowach dopatrzyć się genezy jednej z sześciu prac Glogera, rozprawy zatytułowanej: „Czy lud polski jeszcze śpiewa?”. Wyszła ona w Warszawie w roku 1905, a więc na pięć lat przed śmiercią Glogera. W owej rozprawie Gloger tak powiada o niebezpieczeństwie, jakie grozi pieśni ludowej:

„Zatrata tej pieśni i muzyki była, by przeciwstawić ją nam, hańbą. Dajace się często słyszeć zdanie, że cywilizacja musi skosmopolityzować każdy lud i zatrzeć jego echa narodowe, jest bardzo płytkim komunałem. Nie cywilizacja to i prawdziwa oświata kosmopolityzuje lud, ale pseudocywilizacja, podmiejka i fabryczna, knajpa z jej tańcami, katarzyną z kartami zacierą staropolski obyczaj naszego ludu z jego pieśnią i muzyką”.

Dalej zwierza się Gloger, że już jako student Szkoły Głównej w Warszawie starał się usilnie zebrać spośród kolegów grono, które by promogowało kulturowanie dawnych zwyczajów, pieśni i obrzędów. Nie powiodło mu się, myślał „z głęboką troską w duszy nad przyszłością starej ludowej pieśni, muzyki i obyczaju rodzinnego”.

Rozprawę dopełnia wiersz Glogera „Do tych, którzy śpiewać zapomnieli”. Oto jego fragment:

„...A gdy pracujesz: u siana lub
W sadzie, w stodole, w lesie, u
Śpiewaj, dziewczyno, matek
W dzień i wieczorem.

Pieśń o Jasieńku czas ci skróci
Przy pieśni płyną laniej znoje
Głos twój srebrzysty niech echo
W polu i w lesie.

Jeśli, matko, nad kołyską
I skarb najmilszy do snu tobie
Niech go pieśń słodka ukołysze
By kochał pieśnię.

A gdy, molojeze, podkreświwszy
Skrzeszesz podkówa ognia
Za każdym razem, gdy nawróciś
Grzmij pieśń wesoło.

Lecz, gdy dziewczyno, dostrzeżesz
Że jego duszy nie wzrusza
Mów mu że cymbał, prostemi
Nad cymbalami”.

Nie sądzę, by Gloger przywiązywał do swych wierszy większą wagę. Można przyjąć, że posługiwał się

nimi dla podparcia innych, pozaliterackich celów. A przecież był pisarzem. Tak traktowali go Sienkiewicz i Orzeszkowa, z którymi był zaprzyjaźniony. Niewiele wiemy (a szkoda) o tej pierwszej przyjaźni. Bliższe poznanie związków Glogera — historyka, zbieracza, etnografa, wybornego znawcy Podlasia — z autorem „Tylogii” rzuciłoby może sноп światła na genezę powieści Sienkiewicza, których akcja rozgrywa się w znacznej mierze właśnie na Podlasiu. Wiadomo, że znajomość ich i przyjaźń zaczęła się na szkolnej ławie, że Sienkiewicz bywał u Glogera, w Jeżewie, że w roku 1882 odbyli wspólną wyprawę do Białowieży, którą Gloger barwnie później opisał w książce „Białowieża w albumie”, wydanej w 1903 roku i dedykowanej Sienkiewiczowi. Natomiast z Orzeszkową Gloger podróżował „Dolinami rzek” (tytuł jego książki, wydanej również w 1903 roku i opatrzonej dopiskami: „Podróż z Niemnem, Wisłą, Bugiem i Biebrzą”). Przedmowa do tej książki napisała właśnie Eliza Orzeszkowa.

Czytamy tam m.in.: „Z Grodna do Kowna. Osiem dni podróży żeglarskim szlakiem Jagiellów. Podróżując z panem Glogerem, zwiedzamy stare i w dziejach znane miasteczka, przechadzamy się po kwiecistych łąkach i ciekawych, jodłowych borach, po resztkach puszczy odwiecznych, w których niegdyś rozlewały się trawy monarszych polowań. Znajdaliśmy się z nadwodną ludnością orłową, poznaliśmy jej odrębne cechy, zarobki, sposób bycia, narzędzia, którymi pracują”.

Przedmowa kończy się słowami: „...Do umysłów, nie potrzebujących cudów ani gromów, aby język życia ludzi i rzeczy rozumieć, należy pan Gloger. Podróż jego posiada ten łot myśli i to serdeczne ciepło, które zdradza uczoność, ukazując w nim poetę”.

Osobny rozdział to związki Glogera z Kolbergiem, który również odwiedził autora „Pieśni ludu” w Jeżewie. Trwałe ślady tych związków zaczęły się zarówno w pismach Glogera, jak i Kolberga.

We wspomnianej już broszurze „Czy lud polski jeszcze śpiewa?” Gloger wylicza zbieraczy zasłużonych dla ocalenia „melodii i poezji ludowej” (Wacława Zaleskiego, Kazimierza Wójcickiego, Zygote Pauliego, Józefa Konopkę, Kornela Kozłowskiego, Izydora Kopernickiego i innych), a potem zapytuje:

„Ale czyż na tym koniec? Wszak mamy jeszcze Oskara Kolberga, który sam jeden stwarza jakby całą bibliotekę muzyki etnograficznej i ze wszelkich miar zasługuje, abyśmy choć pobieżnie obliczyli, co on sam do skarbnicy tej zebrał w naszych czasach...”

Żas Oskar Kolberg w tomie poświęconym Mazowszu pisze:

„Niektóre z obrzędów, zatracone już w wielu (...) stronach Mazowsza i Podlasia, lud tutaj wedle sprzyjających warunków zachowuje dość ściśle. Jak tego dowodzą między innymi obchody Kupalnicki i Dożynek, obserwowane i tak zajmujące przedstawione przez Zygmunta Glogera. (...) Podane tu przez nas wiadomości etnograficzne, wprowadź skrzętnie, ale dorywczo nieraz dla braku czasu przez nas skrócone, nie byłyby ani w części tak pełne i dokładne, a tem samem nie dawałyby obrazu tyle poręczającego tej prowincji, gdyby nam się nie był nasunął obfity, a wybornie opracowany materiał przez Zygmunta Glogera, w różnych dawniej ogłoszonych czasopiśmie”.

Niezmiernie cenne na polu archeologii i etnografii pracownik — posiadający w majątku swym pod Tykocinem własne swe, z niemałym trudem nagromadzone Muzeum — wielce się do wzbogacenia wiedzy i do rozkrzewienia wspomnianych nauk pracami swymi przykładający, dotąd jak widzimy, na tej drodze nader czynnym być jeszcze nie przestaje.”



Foto: W. Parys

Gloger zmarł w roku 1910, w wieku lat 65. Także wówczas pisarze umierali, jak się okazuje, grupami. Przeglądając egzemplarze tygodnika krajoznawczego „Ziemia” z roku 1910 napotykam nekrologi Orzeszkowej, Konopnickiej, Glogera. Po śmierci autora „Księgi rzeczy polskich” tak pisze o nim Aleksander Janowski:

Pierwsze zebranie ogólne Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego wykazało zupełną jednogłośnie przy wyborze Prezesa Towarzystwa, powołując na to stanowisko Zygmunta Glogera. Źródłem tej jednogłośnie było głębokie przeświadczenie, że na ziemiach polskich nie ma człowieka, który by zrobił więcej dla krajoznawstwa polskiego nad autora „Encyklopedii staropolskiej”, zbieracza pieśni ludu, człowieka, który przez pół wieku czynem i piórem służył krajoznawstwu (...). Ogrom dokonanej przez Zygmunta Glogera pracy jest zdumiewający. Zdać się, że życia kilku ludzi trzeba by na wykonanie tych wielostronnych prac, do których zmarły przygotowywał się zawsze przez mozolne i drobiazgowo gromadzenie materiałów. Czerpał je zarówno ze starych, piętrem wieków przyprószonych dokumentów, jak z tętniących życiem pieśni, podań i obyczajów ludu.

(...) Jego prace stanowią niewyczerpaną skarbnicę krajoznawstwa polskiego: fizjografia, etnografia, archeologia, historia, historia sztuki, ekonomia, statystyka i wiele innych gałęzi nauki wzbogacone zostały przez mrówcze prace zmarłego. A dokonywał tych prac niezmordowanie i raz nakreślonych zamiarów nie zmieniał. W pracy „Dolinami rzek” pisał: „Tamta wycieczka moja po Wiśle nie powiodła się, ale że nie zwykłem w niepowodzeniu wykresłać zamiaru z programu rzeczy raz rozpoczętych, więc choć w prawie ówczesnych postanowiłem dawny ten zamiar uskutecznić. Potrzeba mi jeszcze trzynaście lat życia, aby wykończyć zamierzone prace” — mówił na dwa lata przed śmiercią.

Złożona to postać — Zygmunt Gloger. Patrząc na jego owalny dagroty, najbardziej chyba popularną podobiznę. Znamy mi się, jako łodziar, nowi, podobizny łódzkich przemysłowców z ubiegłego wieku. Zdumiewająca rzecz, ale można by z powodzeniem umieścić z nim Glogera w jednym szeregu. I oni zresztą i on byli pochodzenia niemieckiego. Tymczasem...

„Czem jest pieśń rodzima w życiu i obyczaju domowym każdego rdzennego plemienia słowiańskiego, tego nie potrzebujemy tu dowodzić. Znamy jest fakt, że Polak, który ma się zniemieczyć, przede wszystkim zapomina śpiewać po polsku”.

To słowa Glogera z cytowanej już broszury „Czy lud polski jeszcze śpiewa?”

Zarazem Gloger to człowiek, który jako jeden z pierwszych w naszym kraju postawił znak równania między pojęciami: ziemia — ojczyzna — lud.

Stoję przed starym lamusem w Jeżewie i nie mogę oprzeć się myśli, że budynekowi temu należałoby przywrócić jego dawne przeznaczenie. Było tu niegdyś muzeum rodzinne Glogerów. Powinno teraz powstać muzeum poświęcone pamięci Zygmunta Glogera. Co oznacza również, że dawne zbiory rodowe, jeśli gdziekolwiek ocalały, powinny tu powrócić.

Reportaż z przygotowanej do druku książki pt. „O człowieku, któremu wystarczył ogarek”, która ukaze się nakładem Wydawnictwa „Iskry”.



Foto: Archiwum

WIESŁAW PUSZ

ŚWIATOPEŁK KARPIŃSKI PO LATACH

(SZKIC DO PORTRETU)

Nie należę do ludzi mogących pamiętać Światopelkę Karpińskiego. Ale w tym wypadku nieobecność w „klubie wspominkarzy” pozwala uniknąć uludy mistyfikacji.

Światopelk Karpiński nie miał w sobie ni kropli krwi Franciszka Karpińskiego (mimo, że „był uderzająco podobny”). Nie było też „długiej linii przodków o najwyższej kulturze: poeci, muzycy, uczeni, inżynierowie”, przypisywanej przyjacielowi przez J. Iwaszkiewicza we „Wspomnieniach” poprzedzających zbiór wierszy „małego skamandryta”. Znakomitych antenatów odnalazł można w rodowodzie poety jedynie po kądzieli, Zofia z Malewskich Brochocka, prababka S. Karpińskiego, była wnuczką Symona Malewskiego, rektora Uniwersytetu Wileńskiego i córka Franciszka, filomaty. Ojciec Światopelki — Franciszek był, według wersji rodzinnej, jedną z dwunastu pociech zubożałego szlachcica, dzierżawcy wsi Stodół. Franciszek Karpiński skończył studia w Petersburgu i związał się z młodzieńcem Henryką Brochocką, prowadził koźwownicze życie państwowego inżyniera od budowy mostów. Światopelk najmłodszy z rodzeństwa, urodził się 27 marca 1909 r. w Łasku, gdzie jego ojciec piastował urząd architekta powiatowego. Okres pierwszej wojny światowej rodzina Karpińskich spędziła w Rosji, po czym osiadła w Łodzi.

Światopelk Karpiński uczył się w łódzkim Gimnazjum Handlowym Stowarzyszenia Kupców, będąc poć dwukrotnie zawieszonym — dziś się mawia w prawach ucznia — najpierw za wiersz miłosny „spisany” na tablicy, później za obrazoburcze wypracowanie szkolne o trzech wieszczach. Te ostatnia karę podobno zawieszono, gdy okazało się, że Karpiński został laureatem konkursu na sztukę teatralną, zorganizowanego przez kuratorium łódzkie z okazji 10 rocznicy niepodległości Polski. Z korespondencji poety wynikałoby, że były dwie (pierwsze? równorzędne?) nagrody o ostatecznej klasyfikacji miał decydować plebiscyt słuchaczy podczas przedstawienia.

Uzyskawszy w 1929 r. świadectwo dojrzałości udał się Karpiński do Warszawy, podobno uczęszczał tam do Szkoły Nauk Politycznych. Zdanem jego przyjaciela, Jerzego Minkiewicza — kontakt z ową szkołą sprowadził się jedynie do zapisu. W tym czasie Karpiński gromadził wiersze do swego pierwszego tomiku pozostając w kontakcie z „Meteorem” grupą łódzkich poetów. W 1932 roku miały miejsce trzy ważne dla Karpińskiego wydarzenia: został powołany do wojska na edukację w łódzkiej podchorążówce, ukazał się jego debiutancki zbiorek wierszy „Ludzie wśród ludzi”, zmarł w listopadzie jego ojciec.

Zjawiwszy się w Warszawie w 1933

roku musiał Karpiński szukać środków utrzymania. Pisywał więc satyryczne wiersze i nowelki do sławnego „Cyrulika Warszawskiego”, a po jego likwidacji do powstałych niezadługo „Szpilek” nawiązał współpracę z Minkiewiczem (efektem były drukowane i wystawiane głośnie szopki). Z potrzeby został Karpiński nawet — fikcyjnym — sprawozdawcą sądowym: objął schedę po Tadeuszu B-e-zie w „Kurierze Porannym” i pisywał tam felietony, zatytułowane „Prozę wstać”.

Szybko zyskał Karpiński w stolicy znaczny rozgłos. Nie tyle lub może nie wyłącznie literacki, a biorący się z przepędzania — nie na sucho przecież — większości popołudniowego i nocnego czasu w bardziej lub mniej szacownych lokalach Warszawy, w dobranej „artystycznej” kompanii, przy kiesz z całym kunsztem aktualnie dojrzałego „cyca”. Stały element swego stylu bycia tworzyły też ustawicznie inne, kolejne narzeczona, Azylem Karpińskiego przez cały okres „urzędowania” w stolicy, miejscem zręczania „uniformu”, o. y. Zielonice pod Łaskiem, majątek drugiego męża matki.

W 1935 r. ukazał się kolejny tomik Karpińskiego — „Mieszczanski poemat”. Ponoć winien on być, w mniemaniu poety, spowodować uwieńczenie autora wawrzynem Polskiej Akademii Literatury dla młodych twórców. Zadbawszy starannie o dalsze koneksje otrzymuje Karpiński nagrodę młodych rok później za zbiór pt. „Trzynastka wierszy”. W tymże 1938 wyjechał laureat do Paryża, jak rozgłaszał — po naukę.

W 1937 wyszedł tomik satyr „Kreda na parkanie”. W wyniku zamówienia prezydenta miasta napisał Karpiński „Poemat o Warszawie”. Wraz z nim opublikował w 1938 r. następny zbiorek lżejszej muzy „Ściana śmiechu”.

Zmobilizowany w 1939 r. pełnił służbę adiutanta w komendancie ze stolicy. „Zrezygnowawszy” z oflagu ukrywał się, w końcu przez Lwów dotarł do Wilna. Pisał w tym czasie sporo, wiersze z tego okresu rozproszone są po licznych czasopiśmiech. Kawiarnianego trybu życia stolicy w Wilnie nie zmienili, znaleźli się tam i znajomi i doskonali „jelenie”; według opinii jego przyjaciela ówczesna sytuacja stanowiła jedyną możliwą formę „wyjścia”.

Zmarł Karpiński nagle (ale różne dolegliwości trapiły go od dawna), w Wilnie, 1 maja 1940 r. Okoliczności śmierci, jednocześnie tragiczne i farsowe, wykorzystywane były zarówno do symbolizacji, jak i do pointowania losów wcześniej zamkniętego poety.

Olśniewająca, jaskrawa indywidualność Karpińskiego zapewniała mu uprzywilejowaną pozycję w życiu literackim stolicy lat trzydziestych. Spowodowała też szybkie narastanie, aż wreszcie spowicie biografii autora „Mieszczanski poemat” — najpierw w plotka, a później legenda, wspomnianych rzetelnie mistyfikacjami samego poety. Stało się, że dzisiaj znamy przede wszystkim kronikę barwnych przypadków, często nieprawdopodobnych, Karpińskiego, nie mogąc przy owym mozaikowym rejestrze czynów i zdarzeń dostrzec ich mechanizmów. Rzecz zrozumiała, że w tej sytuacji o twórczości z upływem czasu mówilo się coraz mniej, a za to coraz bardziej schematycznie i byle jak.

Recenzje poszczególnych tomików, pojawiające się za życia poety, nosiły często piętno autorskiego zaniżenia. Jedynie w kilku z nich p-b-owano w sposób niezależny i odpowiedzialny określić specyfikę literacką utworów Karpińskiego. Bez wyjątku i każdorazowo zauważano i podnoszono niezwykłą, niespotykaną równoległe w zbiorach innych autorów sprawność techniczną, kunsztowność formy. Bywało to punktem wyjścia do entuzjastycznych pochwał, wysoka kultura, prerafinowanie, nadmiar zgola poetyckości aż po pewien manieryzm, ale też uwagi tego typu stanowiły pretekst do podkreślenia wtórności, braku własnego tonu, chłodu doskonałej formy nie służący żadnej wyraźnie dominującej tematyce czy choćby poetyckiej obsesji.

Z dystansu zauważyć łatwo, że jak zwykle prawda tkwiła gdzieś w połowie drogi między tymi poglądami. Jako jedyny bodaj trafił już wówczas w sedno Zawodźński, który podsumowywał „Mieszczanski poemat” w ten sposób: „Opisowość, „ut pictura poesis”, nadmiar poetyki i w ogóle techniki poetyckiej, jednak bez szczególnej inwencji w tym zakresie (...) Brak wartościowej, „większej” metafory, inaczej uderzającego zamyślenia i współdziałania elementów dla pożądanego efektu całości”.

Zawodźński zaproponował poecie spróbowanie sił w modnym wówczas poemacie epickim i nie podejmując się rozstrzygnąć na ile autoświadomość Karpińskiego, a o ile odpowiedź krytyka i zamówienie Starzyńskiego zdecydowały o powstaniu „Poematu o Warszawie”, poematu opiewającego odwołującego się do „Zofiówki”. Faktem jest, że już w „Trzynastu wierszach” wyróżniał się pełnią poetyckiej skali „Poemat gotycki” i że rzecz o Warszawie wraz z późniejszym, niedokończonym poematem „Apollo i dziewczyna” są najdoskonalszymi, najpełniejszymi realizacjami literackich możliwości autora.

Jednak mimo wszystko dorobek poetycki Karpińskiego to nie zbiór

luźnych wierszowanych obrazków. Swego czasu, po nagrodzie PAL, Ryszard Matuszewski odmawiając laureatowi „istotnej treści lirycznej” cieniem sympatii darzył „zrezygnego zonglera słów” za ton groteski i nonsensu. Jak zwykle konsekwentny tak brzmiały utwory włączył do poetyckiej antologii międzywojnia. Ale co innego, jak mi się zdaje, zarazem wyróżnia i splata wiersze Karpińskiego w całość, w cykl liryczny.

Jest Karpiński poetą niechętnym. Pisanie to męka, przewycięzanie skceptowanej izolacji. „Wyżłobiłem ci kilofem / mego serca gnuśny kamień” — stwierdza rozpoczynając „Dedykację” „Mieszczanski poemat”. Wiersz nie jest zastąpieniem z swej samoty poety decydującego się na kontakt z tłumem. To czytelnik musi wejść w świat autora, krań jego utworu. „Słowo dziura jest w milczeniu, / a wiersz wyrabana grotą. / Kłękaj w niej nieznanego cieniu, / zawiń czoło w dionizotok. / żeby patrzeć stąd w doliny, / czytać gwiazdy i godziny.”

Trudne, często urągające rozsądkowi jest doszukiwanie się relacji między psychiką i doświadczeniem autora, a jego twórczością. Być może, że poczucie samotności brało się z ostrego, bezkompromisowego widzenia spraw i ludzi, co z kolei zdaje się potwierdzać działalność satyryka. Manifestowane w lirykach odosobnienie podmiotu to izolacjonizm „wiadomy”, to wiara w wyjątkowość pozycji. W „Dedykacji” autor zaprasza czytelnika do swej „górskiej” siedziby. Rozpoczynając „Poemat o Warszawie” określa go — odnosząc do „Zofiówki”. „Od strony skalnych natchnień — bratni dopływ nowy”. Kto pragnie uczestniczyć w lirycznym przeżyciu i poznać „oswajaniu” rzeczywistości przez Karpińskiego, musi porzucić „doliny”, „dół”, „dno” — „śledzisko” przeciętności, błędu i brudu. Każdorazowo wysiłek i decyzja czytelnika oraz poety są wspólne. „I znowu w mym milczeniu przepłynę się ścieżką, po której was wywodziłem z waszych czerstwych mieszkań”

Ku poezji” — pisał w poemacie „Apollo i dziewczyna”.

Twórczość niechętna, pisana z wyjątkami pozycji niepodważalnych przekonania i braku złudzeń, daleka być musi wzruszeniu, ekstazie, bezhoryzontalnemu umiejscowionemu ciećka-ku.

O moja sztuko czysta! Ile w tobie chłodu,
Ten tylko pojąć zdoła, który już za młodu,
Patrząc na własne życie, jak turysta z wieży
Na krajobraz nieczyj, który w dole leży,
Umiał wybierać z siebie strofy,
których srebra
Zapachniało gwiazdami, całe algebra.

Oto autokomentarz do konstatacji — najczęściej w formie zarzutów — chłodnej wirtuozerii i epickości wierszy „Wysoka” samotnia nie była miejscem ustronnej kontemplacji samego siebie, stąd z miejsca gwarantującego niepodległość i wszechogarnięcie próbował Karpiński ogłuszyć „doliny”. W utworach poety nie znajdziemy na pewno optymistycznej wizji świata. Stałym elementem, powtarzającą się nutą jego wierszy jest ton tężyzniejszy rozczarowania, niespełnienia, utraty lub katastrofy mającej dopiero nastąpić. W kontekście określonej tematyki wielkość utworów oraz niezauważona do tej pory potężna dawka makabryzmu i językowej dosadności. Stąd także, a precyzyjnego ustalenia szans — absurd, nonsens, groteska — stale obecne w języku, w płastyce oraz „fabule” wierszy.

Wydaje się, że to właśnie przekonanie o bezsensie liczenia na coś — wiek łączy w spójną całość dorobek poety. Poetyckie samookreślenie Karpińskiego dokonało się właśnie w jego „ciemnych” wierszach.

Światopelk Karpiński

WODY DOBREJ RZEKI

Jak dobrze, że atrament jest właśnie niebieski, a papier bardzo biały. Bo niebo i cisza opłynęły mnie szczerze. Piórem wodząc kreski ten wiersz maluję tylko — zamiast go napisać.

Ow błękit, który leży w warstwach dobrej rzeki, ściele się ponad łąką, unosi obłoki i zatapia zrab słońca, czyniąc je dalekim, jest lżejszy od powietrza i bardziej wysoki.

Od jednego tu szeptu podskoczą olszyny i prując rytm tej strofy, za widnokres rymów odpłyną niby ryby spłoszone. I zginą, a upał się zakłębi jak tumany dymu.

Piję całą pogodę i w oczach mam błękit i żyły moje grają tętnem krajobrazu. Patrz: prawo grawitacji płoszę ruchem ręki, tracę grunt pod nogami i lecę pod lasur.

Słupem ruchu, co wisi na niebieskim wietrze dosięgam już obłoków, jak lilij na rzece. I mierzę nagą stopą dziurawe powietrze, co jak krucha kraw lodu ugina się... Lecę,

aż na obłoku miękkim i z ręką pod głową, w światłocieniu fald martwych na twarzy i szatach, leżę, niby śpiącego posąg barokowy. ... Pełną piersią umieram od oddechów lata.

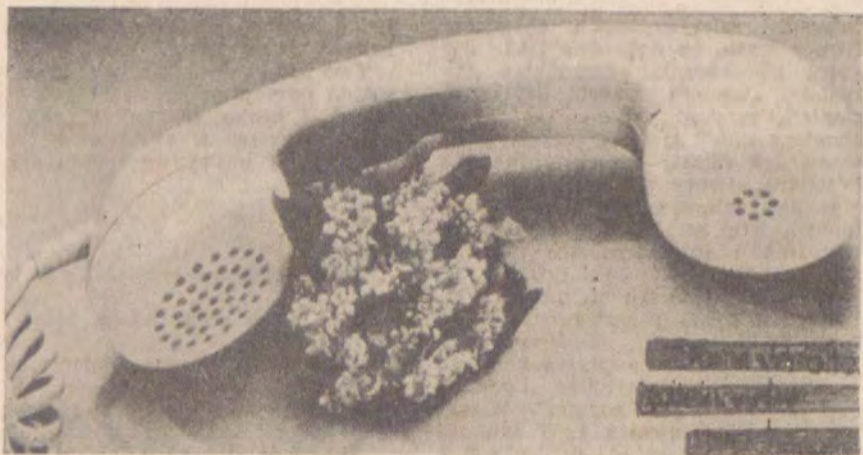


Foto: Archiwum

TOMASZ SOLDENHOFF

POTENTAT I WRÓBLE

Radomska Wytwórnia Telefonów jest autentycznym potentatem, choć ze swoimi 2.500 pracowników łączy się jako zakład raczej średniej wielkości. Większość zainstalowanych w polskich mieszkaniach i biurach aparatów pochodzi właśnie stąd. Chyba, że kogoś stać na „czarodziejskie pudełko” z „Pewexu”. W stosunku do importowanych krajowe aparaty są tanie. „Krajowe”, ale wcale nie gorzej. Wiedzą o tym Rosjanie i Amerykanie, Francuzi i Grecy, Turcy i Kostarykańczycy, mieszkańcy Syjamu, Indonezji, Syjamu, RFN, Kambodży oraz z górą dwudziestu innych państw. Za granicę idzie ponad 80 procent produkcji. Reszta na polskie biurka. Pytanie: jaka to reszta?

„CUDA” W TELEFONACH

Odkąd w RWT zaczęto produkować aparaty typu „retro”, telefoniczny potentat przeżywa ofensywę. Dziennikarzy, „Przedemną — mówią mi w dyrekcji — była „pani z radia”. W popołudniówkach pełne zachwytu plania nad modelem „retro”, z reguły przesadne i dalekie od prawdy. Dyrektor RWT do spraw ekonomicznych — Zbigniew Pierzchała od progu wyznaje, iż nie lubi redaktorów, ponieważ dopisują, kolorują, przesadzają i przeinaczają.

— Także dyrektor naczelny — uprzedza mnie jego zastępca — za dziennikarzami nie przepada.

Dyrektor ekonomiczny recytuje listę osiągnięć. Jest się czym chwalić. No bo proszę: 28 typów produkowanych aparatów w 15 kolorach i odzieniach, 10 procent przyrostu produkcji w 1977 roku bez przyrostu zatrudnienia, czyli plan przekroczony o 32 miliony złotych i wykonany już 20 grudnia, wspinała się cyfra miliona 415 tysięcy aparatów w planie na rok bieżący. Po sukcesach produkcyjnych idą socjalne: wyrównanie poziomu płac w RWT w stosunku do innych, większych fabryk województwa, 300 sztuk nowoczesnych i kolorowych aparatów, kupionych przez załogę „TELKOMU” za ponad 300 tysięcy, które wypracowała sama i przekazanych gratisowo do Centrum Zdrowia Dziecka (będzie ich jeszcze raz tyle), wzorowy żłobek i przedszkole, które — w ramach niedawnego warszawskiego kongresu przedszkolaków — wizytowały owe panie z całego prawie świata, czuła, wielospecjalistyczna opieka lekarska, nowy, 11-kondygnacyjny blok mieszkalny (poprawi warunki życia 70 pracowniczym rodzinom).

Notuję to wszystko skwapliwie, a gdy za sprawą czekoladek i paczków (trafiłem tu w „łusty czwartek”) oraz mojej, nie udawanej gorliwości, słabnie dyrektorska nieufność, pytam wprost o to, co się wiąże z głównym celem mej wizyty: co z szerokiej i atrakcyjnej produkcji „Telkomu” tafia na rynek krajowy?

Dyrektor odpowiada:

— Telefon przestał być artykułem luksusowym. Budujemy coraz więcej mieszkań i powinno być w nich coraz więcej telefonów. Od kilku lat, siłom rządowej ustawy o telefonizacji kraju, systematycznie zwiększamy produkcję. Dawaliśmy i damy na kraj wszystkie typy produkowanych przez nas aparatów, z wyjątkiem klasiszowych. Co rok oferujemy na nasz rynek nowy typ aparatu o wysokiej jakości technicznej i eksploatacyjnej oraz w szerokiej gamie kolorów. Realizacji tych celów służyła budowa najnowocześniejszego obecnie zakładu w województwie. Dzięki niemu przejeżdżamy od kooperanta z Błonia produkując aparaty numerowych. Kupiliśmy włoską licencję i staliśmy się samowystarczalni. Dalszy wzrost produkcji uzależniony jest jednak od budowy nowej hali.

Jadąc na Gołębiów, gdzie stanęła przed dwoma laty nowa hala, miałem za sobą wędrowkę po starych i za ciasných już halach przy ul. Struga w Radomiu, budowanych w latach 1938—1962, i chyba dlatego tę przemysłową dzielnicę wyobrażałem sobie na sposób „łódzki”: stare i ciężkie mury fabryk, stłoczone w Śródmieściu. Tymczasem niespodzianka: autotabus wywozi mnie na wschodnie peryferie miasta. W polu, zamiast czerwonych murów pamiętających jeszcze czasy COP, kilka rozległych, płaskich, lekkich w sylwetkach budynków. Wszystkie one wyrosły w ciągu ostatnich kilku lat. Nowa hala Zakładów Metalowych im. gen. Waltera (maszyny do pisania), Zakład Tarcz Numerowych „Telkomu”, Zakład Produkcyjno-Remontowy Energetyki, hale dla fabryki maszyn do szyja „Łucznik-Singer” (w budowie).

Za progiem nowego zakładu RWT zastaje istotnie to wszystko, o czym szczegółowo, acz bez specjalnej wiary, iżbym miał się do tych wszystkich „cudów” przekonać, nie zobaczysz pierwszej, opowiadał dyr. Pierzchała.

— Warunki są tam na miarę XXI wieku — mówi on z dumą. — Wentylacja wyciągowa-nawiewna czerpie powietrze z pobliskiego lasu, nawilża latem, ociepla zimą i dopiero tłoczy do hal. Magazyn jest ruchomy, nie trzeba po nie chodzić. Każdy pracownik ma szafkę nie tylko w szatni, ale i przy stanowisku pracy, czego kobiety pracujące w zakładzie (w całej RWT kobiety stanowią 70 procent osób zatrudnionych w bezpośredniej produkcji) nie mogą nie docenić. Podłogi wyłożone wykładziną, taka sama jak u mnie w gabinecie. Między taśmami stoja palmy i paprotki. W zieleni i ciepłe zagnieździły się ptaki...

W CIENIU PALM

Na Wydziale Obróbki Mechanicznej pracują włoskie automaty. Każdy z nich wykonując 11 operacji zastępuje pracę 6 starych maszyn. Wy-

twarzane na nich np. osłki, dzięki wysokiej jakości maszyn, świetnym kwalifikacjom robotników (z reguły własnego, zakładowego chowu) i ścisłej kontroli laboratoryjnej, zapewniają nowym tarczom numerowym nieprzerwaną pracę przez 90 lat. Cnoc w jednej hali zmieściły się aż i z wydziału, nikt nikomu nie wchodzi — jak w starych halach — na pięcie. W wolnych chwilach pracownicy podlewają paprotki. Na wydziale montażu mechanicznego przenośnik dostarcza podzespoły wprost na stanowiska. Dyrektor nie koloryzował: są i palmy między taśmami, a nawet akwarium, w którym właśnie zmieniają wodę. Wśród maszyn skaczą wesole wróbelki. Wszystko to prawda.

Wśród rybek i ptaszków, między ścianą ze szkła a ścianą z kolorowych mozaik 92 młode, bardzo młode twarze, w najwyższym skupieniu pochylone nad często — zdawałoby się — niedostrzegalnymi gołym okiem detalami.

— Przeciętna wieku 21 lat — słyszę. — Wiele z obecnych zastępuje starsze koleżanki, to jeszcze uczennice szkoły zakładowej. No cóż, awersja chorobowa. Pan pewnie myśli, że te ptaszki i rybki odejmują nam roboty i nerwy? Kooperanci jak nawalali, tak nawalają. Wiele do życzenia pozostawia praca naszych działów pomocniczych. Każą nam tutaj zmieniać trzy razy na dzień typy tarcz, przestawiać technologie, ale nikt się nie martwi, że brak części. Więc nerwy, bo taśma nie może przebiec stanoż!

W wywiadzie dla „Echa dnia” (Kielce, 2 lutego 1978) dyrektor RWT, Walenty Trzmiel powiedział, że w styczniu „wykonanie zadań było kłopotliwe”. „Dostawcy podzespołów — poskarżył się dyrektor — mimo wcześniejszej uzgodnionej umowy kooperacyjnych „zawalają” na całego. Brakuje nam m.in. kondensatorów. Przysłał jeden z drugim pismo oświadczające o kłopotach. A co nas to obchodzi? W takiej sytuacji doszłoby do tego, że sami musielibyśmy oświadczać odbiorcom naszego produktu końcowego, że nie stać nas na wykonanie przyjętych na siebie obowiązków. My tego nie zrobimy. A oni?”

To samo słyszałem na wydziałach produkcyjnych. Mistrz dypl. Janusz Tkaczyk z Wydziału Montażu Aparatów stwierdził wprost, rozwiewając moje złudzenia:

— Na początku roku rynek musi odczuć brak aparatów. Plany się zwiększyły, limity skurczyły. Zanim się ten nowy porządek zalegałizuje między zakładami-kooperantami, zdąży się to odbić na rynku. Choć prawda jest, że nasza produkcja nie jest w większości bezpośrednio rynkowa i w pierwszym lepszym sklepie nie kupisz aparatu.

OFERTA CZY MIT?

Przed oczami reportera odbywa się w gabinecie dyr. Pierzchały parada różnokształtnych i różnobarwnych modeli. Nowy zakład na Gołębiowie spowodował prawdziwy technologiczny przewrót. W nowych tarczach tworzywa sztuczne wypierają metal. Tarcze te działają lekko i bezszmerowo, mają trwałość o blisko 20 procent większą niż dotychczasowe. Konstruktorzy obliczyli, że o ile tarcze z Błonia wytrzymałyby milion działań cyfry zero, tarcze produkowane obecnie (i montowane w „Astrach”, „Tulpanach” i „Malwach”) — o 200 tysięcy więcej. W nowych typach aparatów, w miejsce obudowy metalowej i bakelitowej pojawiły się tworzywa termoplastyczne: polistyren i nietłukliwy ABS. Zwiększyła się gama kolorów, zmniejszył ciężar aparatów. Bakelitowy telefon MB-65 ważył 2,7 kg, najnowszy model i najurodziwszy, o płaskim, opływowym, wywołującym wrażenie prostoty i lekkości kształcie „Tulpan” — tylko kilogram. Forma plastyczna aparatów konsultowana jest nie tylko z Pracownią Wzornictwa Plastycznego krakowskiej PWSSP. Przyjął się w „TELKOMIE” zwyczaj, że na kształt, a zwłaszcza kolor nowego modelu ma wpływ „babski sejmik” złożony z kobiet reprezentujących wszystkie działy fabryki.

— Bazujemy na ich zdaniu — mówi dyr. Pierzchała — bo, jak wiadomo, panie mają lepszy od nas, mężczyzn, smak i poczucie koloru.

Legendarny model „retro” niewiele ma wspólnego z któryms z topornymi, kłocowatymi eksponatami sprzed 50-70 lat, jakie znajdują się w zakładowym „muzeum”, ani nawet z wyprodukowanym w 1951 roku przez Zakład Wytwórczy Aparatury Telekomunikacyjnej T-4 w... Łodzi aparatem typu MB-33.

Dla tych, którzy wymarzyli sobie tę przyłączoną, połączoną, prawdziwie drobniomieszczańską stylizację do swoich łus-tam M. „Malwa” będzie zapewne wdzięcznym obiektem „obizmów”. Ten luksusowy (sądząc tylko po cenie) telefon, prawdziwie zalety ma raczej nieuchwytnie dla oka. Za to dla ucha niewątpliwie tak. Sygnał wywoławczy emituje wkładka słuchawkowa umieszczona w obudowie aparatu. Zamiast dzwonka — imitacja głosu ptaka (znowu wróbel??). Układ wywoławczy jest bardziej niezawodny, bo elektroniczny, a nie mechaniczny. Przełącznik zasilany w tym aparacie ma trwałość 20 razy większą.

Ale bezskuteczna biegająca byłoby szukanie w sklepach najnowszych

modeli z Radomia: „Tulpanów” i „Malw”. „Malw” wyprodukowane na razie niewielką, informacyjną partią. Czy będziemy je oglądać w sklepach jeszcze przed opadnięciem fali mody retro? Watpie.

Łódzki „Express” doniósł ostatnio, że wśród miliona i 415 tysięcy aparatów wyprodukowanych w 1978 roku „až” 120 tysięcy będzie „Tulpanów” i „Malw”. Nie dajmy jednak zwieść się tym syrenim głosem! Planowana ilość to kropka w morzu. Mnie jeszcze trochę czasu, zanim radomski „TELKOM” w pełni odpowie na idące przez kraj wołanie o zwiększenie i urozmaicenie dostaw na nasz rynek artykułów luksusowych, ale oczekiwanych i cieszących się zbytem. A takim jest również nowoczesny telefon. Po co więc stwarzać mity?

A NA RYNKU WRÓBLE

Gusta mamy coraz wybredniejszą, na miarę luksusu jesteśmy podatni. Jeśli chodzi o telefony, to szczególnie od chwili (styczeń 1976), kiedy aparat telefoniczny zmienił właściciela. Teraz jest własnością abonenta, nie poczty. Uznano go za towar rynkowy. Abonent może więc praktycznie dobrać sobie telefon według własnego „widzimisie”. Do koloru ścian i meblów, nie oglądając się na to co mu zaoferuje UPT. A UPT nie jest w stanie zaspokoić najbardziej wybrednych gustów. Wśród 18 tys. aparatów, jakie Dyrekcja Okręgu Poczty i Telekomunikacji w Łodzi otrzymała w 1977 roku z fabryki w Radomiu, „Tulpanów” było zaledwie 1.000 sztuk, „Malw” — ani jednej.

Nie ma jeszcze takiej sytuacji, abyśmy na każde żądanie klienta mogli dać mu „Tulpana”. Moglibyśmy dostawać z RWT i 30 tys. „Tulpanów” rocznie, także byłoby za mało. A choć jesteśmy zadowoleni z dostaw radomskiej wytwórni, przydałoby się większe zróżnicowanie asortymentów i kolorów — powiedział mi zastępca dyrektora do spraw technicznych Okręgu Poczty i Telekomunikacji, inż. Kazimierz Czarniecki.

W roku 1977 przyłączono w okręgu łódzkim (województwa: miejskie i 12. kł., sieradzkie, piotrkowskie i skierniewickie) rekordową liczbę nowych telefonów: 11,4 tys., w tym w samej Łodzi 8,5 tys. (prawie dwa razy tyle, co w roku 1976). W Łodzi notuje się więc obecnie ok. 76,5 tys. numerów (a w województwie miejskim łódzkim — 83 tys.). W bieżącym roku planuje się jednak mniejszy przyrost: 10,4 tys. w całym okręgu, z czego 7,2 tys. w Łodzi.

Nawet jeśli dostawy aparatów utrzymają się na szesnastoletnim poziomie — stwierdził dyr. K. Czarniecki — powinny one zaspokoić nasze potrzeby, podobnie jak w minionym roku. Trudności bywają tylko z otrzymaniem przydziału, sama fabryka wywiązuje się z dostaw bez zarzutu. Mamy w naszym magazynie dość aparatów na pokrycie potrzeb.

A potrzeby te, to — mówiąc słowami dyrektora — „realizacja planu przyłączenia nowych abonentów, wymiana aparatów w związku z modernizacją central w Aleksandrowie, Konstancynie i Ozorkowie oraz potrzeby eksploatacyjne, czyli wymiana aparatów starych lub zniszczonych”. Na te wymiany poczta posiada magazyny aparatów wystarczająco szerokie.

Jednak to, co pocztowcy proponują jest pod względem asortymentowym i kolorystycznym mniej niż skromne: dwa główne typy aparatów — CB-664 i „Aster-72”, w większości w szarym tylko kolorze. Coraz częściej więc właściciele telefonów, inspirowani przedwczesnymi i fałszywymi alarmami prasy czy telewizji, rozpoczynają poszukiwania na własną rękę. A nuż trafi się aparat w stylu „retro” w kolorze yellow-bahama?

A co może im zaproponować na przykład łódzki handel?

Okazuje się, że „telefoniczna rzeczywistość” jest również pod tym względem szara. Szara, jak te radomskie wróble, jak „Astry” w kolorze wróblowatym, które gromadnie zlatują na półki łódzkich sklepów.

Po dłuższym, rocznym braku apa-

ratów, łódzkie sklepy elektrotechniczne otrzymały na przełomie grudnia i stycznia 1977/78 pierwszą i ostatnią, jak dotąd partię, mniej więcej po 50 sztuk na każdy sklep. Były to z reguły właśnie „Astry” w szarym kolorze. Tylko że względu na ten słonotony i nieefektywny kolor w paru sklepach zostało jeszcze nieco aparatów. Według stanu na dzień 9 lutego: sklep przy ul. Limanowskiej 48 — 9 sztuk, przy ul. Piotrkowskiej 220 — 15 sztuk, przy ul. Lutomierskiej 2 — 4 sztuki, przy ul. Próchnika 1 — 10 sztuk.

Tymczasem ludzie pytają o inne typy i kolory.

— Z konieczności — mówi mi kierownik sklepu przy ul. Próchnika — klienci często biorą taki aparat jaki jest. Szczególnie, że telefonów u nas długo nie było, i nie wiadomo, kiedy będą. Ucieszyło nas, że w ogóle jakieś dostaliśmy.

— Zamawiamy, chętnie byśmy sprzedali więcej — mówią mi w sklepie przy ul. Rzgowskiej 56 — ale nie ma w hurtowni.

— Chciałbym mieć aparaty w sklepie, na półce, przydałyby się, ale nie mam. Zamawiam od półtora roku ce dwa tygodnie, bez skutku. Aparaty, które nasza hurtownia dostała w ubiegłym roku rozdzielono w grudniu między niektóre tylko sklepy — informuje kierownik sklepu przy ul. Wrzesińskiej 102. Tymczasem zapotrzebowanie jest znacznie większe — sklep przy ul. Piotrkowskiej 90 wzięby nie 50, a... 800 egzemplarzy i sprzedał; tak twierdzi personel. Podobne oświadczenia słyszałem i w innych sklepach śródmieścia.

Pytam w Hurtowni Artykułów Elektrotechnicznych przy ul. Pojezierzkiej 90. Odpowiada dyr. Zaręba.

Nie dostaliśmy przydziału na I kwartał. Spodziewamy się aparatów dopiero w drugim kwartale. Zaspokojmy nimi przede wszystkim potrzeby przedsiębiorstw, w ramach sprzedaży pozarynkowej. Odkąd aparaty telefoniczne zakwalifikowano do artykułów rynkowych, ich dostawa do sklepów zajął się „Aster”. Podobno otrzymał przydział.

Istotnie. Jak dowiedziałem się w Dziale Wypożyczenia Mieszkań Wojewódzkiego Przedsiębiorstwa Handlowo-Usługowego „ARGED”, na I kwartał 1978 roku obiecano 1.000 sztuk. Mają wśród nich być aparaty typu CB-740, „Astry”, nieco „Tulpanów”, w różnych kolorach. Ale dostawa jeszcze nie nadeszła. Tymczasem więc muszą wystarczyć resztki szarych „Astrów”.

Dla niektórych jest jeszcze „Pewex”: sklep przy ul. Wojska Polskiego 68 posiadał (dane z 10 lutego) zarówno aparaty importowane, wlokie (w trzech typach: za 47, 64 i 69 dolarów), jak i krajowe, z Radomia (w pięciu typach od 9,90 do 12 dolarów). W maju ubiegłego roku trafiło do sklepu 6 sztuk „Malw-retro” po... 46 dolarów. Rozeszły się błyskawicznie.

A tych włoskich niewiele poszło, bo mają ceny zawyżone — powiedział mi w sklepie.

Jakieś przesłanki nadziei na poprawę zaopatrzenia w aparaty telefoniczne stwarza organizowana w dniach 14—15 lutego 1978 r. w Warszawie giełda handlowa, na której zawierane będą transakcje na dostawy telefonów nowszych typów. Gdyby łódzki handlowcom udało się zawrzeć korzystne umowy, już w II kwartale powinniśmy odczuć ich rezultaty w sklepach. Bądźmy zatem optymistami!

Zapewniano mnie w Radomskiej Wytwórni Telefonów, że jeśli brakuje w zaopatrzeniu w telefony istnieją, to winę za nie ponosi „zła dystrybucja”. Nie byłbym taki pewny, bo kłopoty — jak się okazało — zaczynają się od producenta. Radomska Wytwórnia Telefonów uzależniła zwiększenie produkcji od solidności kooperantów i dalszej, mimo oszczędności inwestycyjnych, rozbudowy zakładu. Do rozbudowy tej przyczynia się jeszcze w 1978 roku.

Czy jednakże będziemy musieli czekać aż do tej zakończenia, aby móc oglądać na krajowym rynku telefonicznego potentata coś więcej, oprócz aparatów szarych i nieefektywnych jak radomskie wróble?



Foto: Archiwum



Foto: Archiwum

EUGENIUSZ IWANICKI

DROGA DO NOWOCZESNOŚCI

Trwa ogólnokrajowa batalia o zwiększenie produkcji roślinnej i zwierzęcej. IV, V i VI plenarne posiedzenie KC PZPR, podkreślając wagę rozwoju gospodarki żywnościowej, nakreśliły jej zadania, które najbliższe lata. Chyba nigdy przedtem nie poświęcano tyle uwagi rolnikom, ziemi, uprawom i hodowlom. Dziś chcemy mówić o rolnictwie skierniewickim, gdzie dokonuje się poważna przebudowa struktury rolnej i gdzie słowo: nowoczesność.

DZIEDZICTWO

Województwo skierniewickie obejmuje obszar ponad 395 tys. ha, z czego na użytki rolne przypada około 80 procent. Środkowa i południowa część województwa to uprawy sadownicze i warzywnicze. Gleby tu nie są najlepsze, mało urodzajne, przeważnie bielcowe. (Powstałe z piaszków luźnych, nagiłowych, z glin żwałowych, piaszków gliniastych i utworów pylowych pochodzenia wodnego). Jedynie w części północnej spotyka się czarnoziem. To zdecydowało o całej gospodarce rolnej. Podobnie jak w całym kraju, tak i w Skierniewickim większość gruntów pozostaje w posiadaniu rolników indywidualnych, a średnia wielkość gospodarstw wynosi 4,5 ha, na dodatek będących często w rozdrobieniu, nierentownych, źle uprawianych. Dziedzictwo, jakie przejęło młode województwo, nie nastrajało optymistycznie. W starym układzie administracyjnym Skierniewice znajdowały się na peryferiach dwóch województw: łódzkiego i warszawskiego. To decydowało o rozwoju samego miasta jak i powiatu. Od trzech lat trwa więc batalia władz partyjnych i administracyjnych województwa skierniewickiego o zmianę tego stanu rzeczy. Dokonana ocena poszczególnych gospodarstw pozwoliła na ich klasyfikację. Do pierwszej grupy zaliczono gospodarstwa niskoprodukcyjne, nie mające możliwości rozwojowych, do drugiej — gospodarstwa o średnim poziomie produkcji, mające perspektywę dalszego rozwoju, wreszcie do trzeciej grupy zaliczono gospodarstwa przodujące o urozniczoną profilu organizacji produkcji i mające możliwości prowadzenia specjalizacji.

Oczywiście, problem jest niezwykle złożony, rozwój gospodarstw indywidualnych był kształtowany przez dziesięciolecia, doświadczenia przekazywano z ojca na syna, istniało słabe przygotowanie fachowe, nieodpowiedni, czasami wręcz zły sposób uzyskiwania produkcji, nazbyt skromne wyposażenie w sprzęt rolniczy, a także słaby i niedostateczny poziom obsługi rolnictwa przez powołane w tym celu jednostki usługowe. Wszystko to spowodowało, że z ziemi, która może i powinna dawać więcej plonów, uzyskiwano tak słabe zbiory zbóż, buraków czy warzyw. Kiedy rozmawiałem z kierownikiem Wydziału Rolnictwa i Gospodarki Żywnościowej KW, tow. Lechem Nowackim, na temat intensyfikacji produkcji rolnej, nie krył, że wieś skierniewicka czeka trudna, lecz nieunikniona przebudowa.

— Przewidujemy — powiedział — że do 1990 roku proces przemian społeczno-strukturalnych jeszcze się nasili i nastąpi podział gospodarstw na dwie zasadnicze grupy: na gospodarstwa, które z różnych względów przestaną być opłacalne (bez perspektyw rozwojowych na skutek starzenia się rolników, brak zaintereso-

wania ze strony młodego pokolenia sprawami gospodarki po rodzicach) oraz takie, które będą miały wszelkie perspektywy rozwojowe. Cała uwaga wojewódzkiej instancji partyjnej zostaje więc skupiona na tym, aby ani jeden hektar ziemi ornej nie leżał odłogiem. W ubiegłym roku dokonaliśmy ogromnego skoku rozwoju gospodarstw specjalistycznych. Z 37 na początku 1977 roku w grudniu było ich już półtora tysiąca, a do 1980 roku chcemy mieć takich gospodarstw ponad pięć tysięcy. Jest to przedsięwzięcie ogromne, ale stać nas na to, by temu zadaniu podołać.

SPECJALIZACJA

Specjalizacja poszczególnych gospodarstw, wsi czy całych rejonów doprowadzi w konsekwencji do zmniejszenia ilości gospodarstw indywidualnych. Trzy lata temu było tych gospodarstw ponad 66 tysięcy, za następne trzy pozostanie ich już 54 tysiące. Jednocześnie zwiększy się ich obszar, gdyż trwa i będzie kontynuowane przejmowanie ziemi od rolników, nie mogących jej uprawiać. Dziś w całym województwie trwa wprowadzanie nie szeroko pojętej specjalizacji. We wsi Pilaszków są 22 gospodarstwa specjalizujące się w produkcji mleka, w Maurycynie — 36 gospodarstw, w Brzozowie — 12, Zagórz — 19, w Wysokienicach — 24 gospodarstwa rozwijające hodowlę owiec. Mówiąc ogólnie, specjalizacja — to więcej żywności, mleka, owoców i warzyw, choć wymaga to rozwiązania wielu problemów, a także zapewnienia rolnikom środków do jej prowadzenia. Ale chcąc, aby gospodarstwa prawidłowo pracowały, należy zaopatrzyć rolników w sprzęt specjalistyczny, którego brak aktualnie odczuwa się na wsi. I choć ilość godzin, które przepracowali ciagniki, wzrosła z tysiąca do półtora tysiąca, jest to ciągle jeszcze za mało. Do 1980 roku, oprócz sprzętu SKR, należy bezwzględnie dostarczyć rolnictwu województwa około 3.900 sztuk ciągników z podstawowym sprzętem, 1.000 kosiarzek, 2.000 przetrząsaczy, około 30 siewników polowych i 19 kombajnów do okopowych. Wówczas plany osiągnięcia zamierzonych pulapów produkcji rolnej będą realne.

PRODUKCJA ROŚLINNA I ZWIERZĘCA

Intensyfikacja rolnictwa to przede wszystkim produkcja roślinna i zwierzęca. Wzrost produkcji roślinnej i zwierzęcej, pamiętając o rozwoju hodowli bydła i trzody chlewnej, wzrośnie także uprawa kukurydzy, lucerny i konopiny. By osiągnąć jednak zwiększone ilości, trzeba będzie zwiększyć nawożenie mineralne, usprawnić zabiegi agrotechniczne, a także meliorację gruntów ornych. Zgranie tych czynników pozwoli na bardzo poważny wzrost produkcji roślinnej. Nie bez znaczenia pozostaje sprawa upraw kontraktowanych, które do 1980 roku wzrosną o ponad 31 proc. w stosunku do roku 1975.

Wraz z rozwojem produkcji roślinnej będzie się rozwijał przemysł rolno-spożywczy. Niektóre zakłady podane zostaną modernizacji (np. Eksperymentalny Zakład Przetwórstwa Owoców i Warzyw w Rawie Mazowieckiej, Zakłady Mleczarskie w Skierniewicach i Przetwórstwo Jajno-

piero się budują. I tak: w br. „Hortex” rozpocznie budowę dużej (około 30 tys. ton) nowoczesnej zamrażalni i przechowalni owoców i warzyw w Skierniewicach. Dla tej potężnej inwestycji już przygotowuje się z udziałem Instytutów Sadownictwa i Warzywnictwa bazę produkcyjną w pięciu gminach: w Skierniewicach, w Puszczy Marjańskiej, Nowym Kaweczynie, Gluchowie i Godzianowie. Skierniewicki przemysł rolno-spożywczy ma określoną opinię: pod względem produkcji owoców zajmuje trzecie miejsce w kraju, a w produkcji warzyw — dziewiąte.

Równoległe z produkcją roślinną będzie rozwijać się produkcja mięsa i mleka. Wynika to z faktu, że na terenie woj. skierniewickiego została zlokalizowana nowoczesna kładnia mięsna (Rawa Maz.) oraz, proszkownia mleka (Skierniewice). Zresztą warunki glebowo-klimatyczne, a także wieloletnie tradycje regionu w hodowli bydła mlecznego i tuczu trzody chlewnej predysponują do dalszego intensywnego rozwoju tej gałęzi gospodarki żywnościowej, która powinna w pełni pokryć potrzeby regionu w tym zakresie, a także zwiększyć udział województwa w zaopatrzeniu gospodarki narodowej i eksportu. Według szacunkowych danych za trzy lata liczba bydła osiągnie 235 tysięcy sztuk, trzody chlewnej — 430 tys. sztuk, owiec — ponad 76 tys. sztuk. Tu warto dodać, że będzie kontynuowana wymiana bydła czarnego i krzyżówkowego na bydło czarno-białe. Szczególnie będzie to dotyczyć gmin: Cieladź, Biała Rawska, Rawa Maz. i Sadkowiec. W roku 1980 od jednej krowy będzie się otrzymywało ponad 3 tys. litrów mleka. Poważne zadania stać więc przed służbą weterynaryjną i inseminatorami.

Istotnym elementem, o którym nie mówiłem, jest nie tylko w Skierniewickim, ale w całym województwie, pozostaje gospodarka ziemi. Powszechne przeglądy gmin są dobrą okazją do wykrycia gruntów, które zagospodarowanych czy wręcz leżących odłogiem. Za trzy lata, z różnych tytułów, zostanie przejętych przez państwo około 18 tys. ha ziemi, by przekazać ją rolnikom indywidualnym i sektorowi uspołecznionemu.

PODNOŚCENIE KWALIFIKACJI

Wspomniałem już, że czynnikiem hamującym rozwój rolnictwa, obok tradycyjnych form gospodarki, są przede wszystkim niedostateczne kwalifikacje fachowe rolników. Toteż rzecz jasna, a oczywista staje się praktyka usuwania błędów agrotechnicznych, upowszechniania metod nowoczesnego gospodarowania (prawidłowa agrotechnika roślin uprawnych, racjonalna gospodarka nawozami, właściwe zabiegi ochrony roślin, zmiany w strukturze zasiewów, uprawy pod folią, nowoczesne metody produkcji i konserwacji pasz, racjonalizacja żywienia i chowu wszystkich grup zwierząt — stosowanie preparatów mlekozastępczych, krzyżowanie międzyrasowe trzody chlewnej, modernizacja i budowa nowych funkcjonalnych obiektów inwentarskich itp.). Duże możliwości rysują się tu dla Wojewódzkiego Ośrodka Postępu Rolniczego, a także dla nowo powstałego Zespołu Specjalistów Doradztwa Specjalistycznego, który prowadzi prace doświadczalno-wdrożeniowe w sieci wytypowanych obiektów na terenie województwa. Prace z rolnikami już

przyniosły konkretne efekty. W roku ubiegłym w gospodarstwie Józefa Kozioła we wsi Rogów, pion jęczmienia wynosił 41 q z ha, natomiast E. Wójcik ze wsi Michałowice osiągnął 42 q z ha. Jerzy Szwakopf ze wsi Witkowiec zebrał ziemniaków 320 q z ha. Eugeniusz Wojciechowski z Róży, specjalizujący się w produkcji paszowej, osiągnął plon 980 q z ha. Tak więc prowadzone prace wdrożeniowe i upowszechnieniowe mają charakter kompleksowych rozwiązań technologicznych, technicznych i organizacyjnych w odniesieniu do poszczególnych kultur rolnych, grup zwierząt, obiektów indywidualnych wsi i rejonów. Szkolenie rolnicze okazało się więc potrzebne i przyniosło już konkretne rezultaty. Objęto nim nie tylko służbę rolną (kadre inżyniersko-techniczne i pracowników obsługi rolnictwa), ale przede wszystkim samych producentów rolnych. A więc działają na terenie województwa kursy kwalifikacyjne. Podstawowe Studium Rolnicze, zespoły przygotowujące rolników do specjalistycznych szkoleń organizacyjnych-szkoleniowych. Zespoły Młodych Rolników oraz są prowadzone szkolenia instruktażowo-praktyczne. Zakłada się, że nikt z zajmujących się produkcją rolną nie może pozostać poza tą wielką siecią kursów, zespołów i studiów.

„TRASY” — WZÓR I PRZYKŁAD

Kiedy mówi się o rolnictwie, ma się na myśli nie pojedyncze, małe, często dość nierentowne gospodarstwa indywidualne, lecz ogromne zespoły i kompleksy rolne, gospodarstwa specjalistyczne. Opracowano nawet odpowiednie „trasy” zwiedzenia takich gospodarstw. Pierwsza z nich obejmuje zakres ogólnej specjalizacji produkcji rolnej i leży w zworowacie gmin: Skierniewice, Lipce Reymontowskie, Łowicz, Młodzieszyn. Druga „trasa” — to specjalizacja, kooperacja i zespołowe formy gospodarowania, znajdujące się w części południowej województwa w obrębie gmin: Skierniewice, Kolaczin, Brzeziny, Gluchów, Rawa Maz., Nowy Dwór, trzecia — bydło mleczne, teren rozciągający się od Skierniewic, poprzez gminy: Bielawy, Żduny, Rybno, Teresin, czwarta — trzoda chlewna w trójkącie: Skierniewice, Rawa Maz., Cieladź oraz trasa piąta obejmująca sadownictwo i ciągnąca się od Skierniewic w kierunku południowo-wschodnim poprzez gminy: Nowy Dwór, Biała Rawska, Broniewo, Kowiesy. Na tym terenie działają dwa potężne instytucje: Instytut Sadownictwa, będący centralną sadowniczą placówką naukową w Polsce oraz Instytut Warzywnictwa podległy Ministerstwu Rolnictwa. Ponadto na terenie województwa działają cztery warzywnicze zakłady doświadczalne.

Tak więc trwa rozpoczęta trzy lata temu przez władze partyjne i administracyjne województwa kampania o nowoczesne rolnictwo. Z zapuszczonego, niedoinwestowanego byłego powiatu zaczyna powstawać wielkie zagłębie rolno-spożywcze, choć nie samym rolnictwem żyją tu ludzie: u górnym potencjalnym producentem jest przemysł lekki, spożywczy, chemiczny i elektromaszynowy.

Równocześnie i równomierny rozwój tych dwóch ważnych dla kraju działów będzie więc najlepszą wytyczną dla dobrze prosperującego województwa. Prace z rolnikami już

CHROŚCIELEWSKI PO BIAŁORUSKU

„Na śladach mojego domu” — to tytuł wydanego na Białorusi tomu wierszy znanego łódzkiego poety Tadeusza Chrościelewskiego. Tom składa się z wierszy do brze czytelnikowi polskiemu znanych i jest artystycznie spójny, a zasługa to redaktora książki, Janki Brylej i najbliższego współpracownika, Janki Brylej, który starał się możliwie najpełniej i najbardziej reprezentatywnie przedstawić czytelnikowi białoruskiemu twórczość prezentowanego autora. Wiersze przetłumaczyli znani białoruscy poeci, tacy jak M. Tank i R. Baradulin, P. Makai, A. Łojko, K. Kaniejsza i R. Siemaszkiewicz.

Wiersze T. Chrościelewskiego, oryginalne i niełatwe, posiadają w swym rdzeniu, jak każda prawdziwa poezja, właściwy tylko dla autora niepowtarzalny element pierwotny: żywioł barwy i aromatu, które każdy tłumacz stara się przekazać za pomocą środków artystycznych adekwatnych swym pochodzeniem i zabarwieniem emocjonalno-semantycznym do materiału językowego, z którego powstał oryginał. Przekład jako proces odwzorowania jest drugim etapem twórczości. Dobry przekład jest nie do pomyślenia bez wprowadzenia do odtworzonego utworu całego bogactwa środków ekspresyjno-wyrazowych języka ojczystego, wszystkich barw i odcieni emocjonalnych, dzięki którym czytelnik odbiera utwór jako oryginalny nie zadając sobie pytania, w jakim stopniu jest on wierny pierwowzorowi.

Translacje z języków podobnych, należących do jednej rodziny, są bardzo niebezpieczne, gdyż wyrazy podobne do siebie z reguły mają inne emocjonalne zabarwienie. Mechaniczna zamiana słów nie daje niczego, oprócz fałszywych skojarzeń. Przekłady wierszy Tadeusza Chrościelewskiego przekonują, że najważniejsza jest w nich nie zamiana słów, lecz odtworzenie obrazowej i metaforycznej tkanki utworu. Tłumacze dostarczyli poza słowami to samo, co widział autor. Przekładając poezję odrzucali to, co było zbędne dla odtworzenia poezji, używając w ten sposób artystyczną adekwatność przekładu.

Chciałbym zatrzymać się na metodzie translatorskiej Maksima Tanki. Przy całym szacunku dla oryginału Tank nie stara się odtworzyć za wszelką cenę poszczególnych elementów utworu. Podstawą tłumaczenia nie są oddzielne obrazy, choćby nawet najbardziej w oryginale udatne, lecz utwór, jako całość, jego obrazowa spójność, wartość, podcałkowująca sobie poszczególne części i środki wyrazu artystycznego.

Omawiane przekłady na język białoruski charakteryzuje dynamika i lekkość brzmienia wierszy. Obciążenie ich wszystkimi akcesoriami oryginału uśmierdza rytm strofy poetyckiej. Metoda translatorska M. Tanki obca jest czytelnikowi w obrotach i przekładzie, nie uginając się pod brzemieniem bogactwa środków artystycznych zawartych w oryginale. Szczegółowo poetycko-obrazowa właściwość jest dla języka polskiego poezji i z reguły musi być ograniczona w przekładach na język wchodzący w skład.

P. Makaiowi można byłoby wytknąć pewne potknięcia w przekładach, na przykład w wierszu „Twardowski”:

I wtedy go widzieli — natchniony polityk
Szatniarz, pewien generał w drodze
Jak ze zgrozą w trenach wleciał na kucie
I zadartym szabliskiem rwał messerschmity

Jakoś tak się stało, że znakomity Pan Twardowski, polski Faust, w przekładzie P. Makai przelotczył się w „starodawnego i naiwnego diabełka”. A przecież legenda o Panu Twardowskim znana jest na Białorusi choćby z ballad Mickiewicza. Pan Twardowski Tadeusza Chrościelewskiego jest inny, bliższy naszym czasom, wojujący, rabinujący szablą swych przodków messerschmity, wiec tym bardziej niepodobny jest do naiwnego diabełka. Oczywiście, myśl poetycka przekładu jest jasna — nawet staromodny, naiwny diabełek z baśni ludowych przestacza się w czasach walki w groźnego latającego ryceza, symbolizującego niezwykłego ducha narodu. A jednak lepiej by było dla poezji, gdyby realia utworu nie zostały poddane takiej obróbce. Nie może się podobać taka transformacja, mimo iż wiersz po białorusku brzmi bardzo poprawnie. Wydaje się, że na zarzuty dotyczące choćby tego, że u autora jest i polityk, i szatniarz, i generał, a w przekładzie ich brak, tłumacz mógłby odpowiedzieć, że pozornie wiernego odtworzenia słów nie wystarczyłoby dla zachowania idei poetyckiej oryginału.

A więc znów stary dylemat tłumaczy: jeśli zacznieś tworzyć poezję, zarzuca ci, że to nie jest przekład, a jeśli będziesz robił przekład, zarzuca ci, że to nie jest poezja. Nie można przesądzać, w jakim stopniu skazano by została idea autora, gdyby tłumacz zwrócił większą uwagę na poszczególne elementy wiersza.

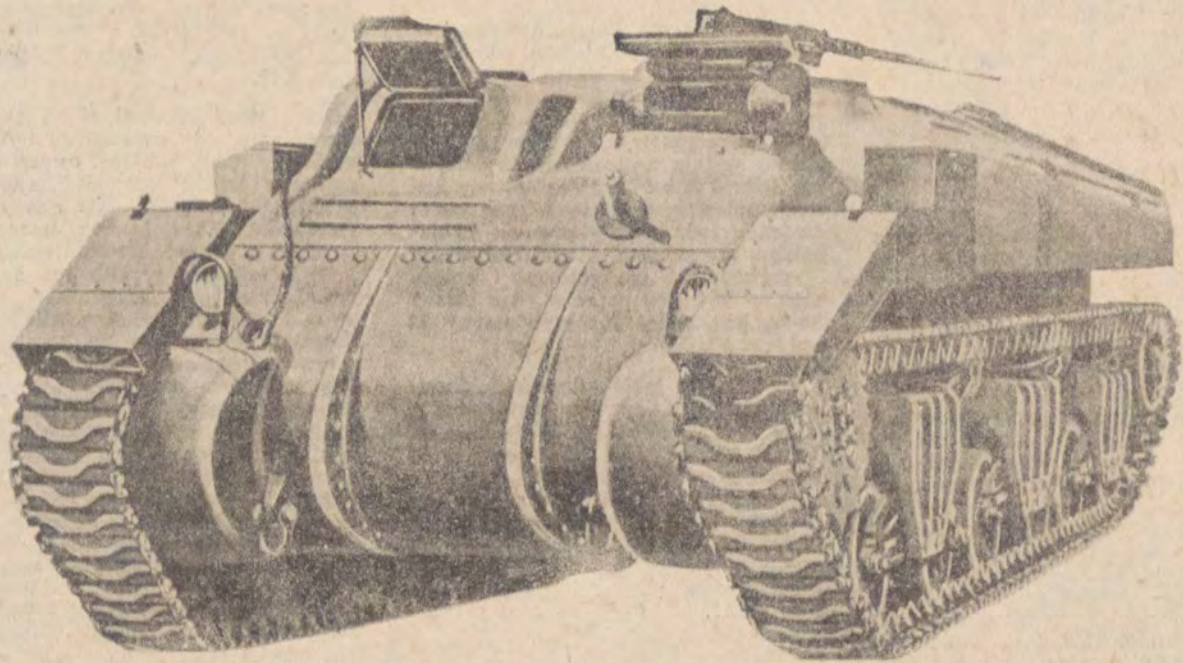
Nieznamość realiów tłumaczonego utworu, jak również realiów polskiej rzeczywistości osłabia wymowę niektórych przekładów, gdzieś gdzieś zbyt wiele „własnego” wprowadził do tłumaczeń R. Baradulin, choć nie jest tego aż tak dużo, by tłumacza oskarżać o znieskształcenie całości.

Na ogół wszyscy tłumacze dali dobry przykład intuicji artystycznej, która ustrzegła ich od błędów, osłabiających „światło i ducha” utworów. Środkami artystycznymi właściwymi dla języka białoruskiego i zgodnie z jego wewnętrznymi prawami przekazano czytelnikowi nie tylko słowa, lecz wszystko, co za nimi się kryje: myśli, uczucia, nastroje i refleksje, wewnętrzna spójność skojarzeń — żywa tkanka obrazowa polskiej poezji wraz z jej podtekstem.

WASVI KOCZNOW

ZBROJENIA

JAN POWAŁA



W grudniu 1977 roku w kwatrze głównej NATO koło Brukseli odbyła się seria okresowych narad władz naczelnych Paktu Północnoatlantyckiego. Pierwsi obradowali członkowie tzw. Eurogrupy, po nich Komitet Planowania Obrony, a następnie ministrowie spraw zagranicznych państw tworzących Radę NATO.

W czasie spotkań grudniowych przedstawiciele Pentagonu, podobnie jak poprzednio, żonglując różnymi liczbami mającymi świadczyć o rzekomej przewadze wojsk Układu Warszawskiego nad siłami Paktu Północnoatlantyckiego, apelowali do europejskich państw członkowskich o dodatkowe fundusze na zakup nowych rodzajów broni.

Podjęto konkretne decyzje dotyczące zwiększenia zakupu nowego uzbrojenia dla lotnictwa, marynarki wojennej, wojsk pancernych i rakietowych. W roku 1978 jednostki NATO mają otrzymać m.in. 1.635 czołgów i transporterów opancerzonych, 1.027 wyrzutni rakietowych, około 15 tys. przenośnych wyrzutni pocisków rakietowych, 112 samolotów bojowych i 22 samoloty transportowe, 53 śmigłowce, 10 niszczycieli rakietowych, 10 konrtorpedowców, 11 trałowców, 2 okręty podwodne i wiele innych nowoczesnych środków walki.

Ponadto w czasie brukselskich obrad głównodowodzących siłami zbrojnymi Paktu Północnoatlantyckiego w Europie, gen. Aleksander HAIG oraz jego wysocy urzędnicy z całym przekonaniem i uporem wypowiedzieli się za wprowadzeniem do NATO pocisków neutronowych z uwagi na ich rzekoma „czystość, selektywność i humanitarność”. Mocarstwa imperialistyczne ignorując fakt, iż rośnie bez przerwy liczba państw domagających się zahamowania wyścigu zbrojeń i uzupełnienia odprężenia politycznego odprężeniem militarnym, wzmagają z roku na rok wyścig zbrojeń. A przecież wydatki na zbrojenia w świecie osiągnęły już astronomiczną sumę — 350 mld dolarów rocznie.

Mimo iż Konferencja Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie stworzyła sprzyjający klimat do podjęcia rokowań w sprawie rozbrojenia, krąg przeciwników odprężenia i zwolenników wyścigu zbrojeń jest wystarczająco szeroki, a ich arsenał ideologiczny nader urozmaicony.

Najbardziej charakterystyczne działania w tym zakresie znajdujemy zarówno w działalności Paktu Północnoatlantyckiego, jak również w poczynaniach kompleksu wojskowo-przemysłowego USA. Tam obserwujemy nasilenie wyścigu zbrojeń i — co się z tym nierozdzielnie wiąże — nieustanne zwiększanie budżetów wojskowych, przewrotnie nazwanych mianem „obronnych”.

Suma wydatków na cele wojskowe państw NATO zwiększyła się z 18 mld dolarów w roku 1949 do 170 mld dolarów w roku 1976. Ogółem w latach 1949—1975 bezpośrednie wydatki na cele wojskowe tego bloku przekroczyły 2 tryliony dolarów.

Spośród wszystkich państw Paktu Północnoatlantyckiego największe sumy na zbrojenia przeznaczają Stany Zjednoczone. Budżet wojskowy USA w bieżącym roku finansowym osiągnie najwyższy w dziejach tego kraju poziom — 125 mld dolarów. Warto przypomnieć, że w roku 1945 budżet wojskowy Stanów Zjednoczonych zamykał się kwotą 12 mld dolarów. Od zakończenia II wojny światowej do chwili obecnej został on powiększony przeszło dziesięciokrotnie. Kola militarystyczne USA zapowiadają, że w ciągu najbliższych dwóch lat budżet Pentagonu trzeba będzie zwiększyć do 150 mld dolarów.

Czynnikiem stymulującym wyścig zbrojeń jest handel bronią. Największym eksporterem broni są Stany Zjednoczone. Dostarczają one broń do ponad 70 krajów czerpiąc z tego duże zyski. O ile w roku 1963 ogół-

na suma uzyskana z eksportu broni wynosiła 4,4 mld dolarów, to w 1973 roku osiągnęła ona 8,7 mld, a w 1976 roku — 12 mld dolarów. W ostatnim okresie głównym nabywcą amerykańskiej broni stał się Bliski Wschód, przy czym poważną część broni kierowana jest do Izraela. Tylko w latach 1974—1976 dostawy amerykańskiej broni do Izraela znacznie przekroczyły sumę 4 mld dolarów. Zamówienia, opiewające na miliardy kwoty, otrzymały amerykańskie monopole także od krajów Zatoki Perskiej.

Na drugim miejscu po USA wśród eksporterów broni znajdują się Francja i Anglia. W ostatnich latach znaczną aktywność w tej działalności przejawiają koncerny zachodnoniemieckie. Poza bezpośrednimi dostawami broni, monopole RFN budują fabryki zbrojeniowe w Argentynie, Indonezji, Ghanie i Sudanie. Własnej produkcji broni eksportuje do innych krajów także Izrael. Aktualnie eksport broni z Izraela osiągnął tak duże rozmiary, że stawia go na równorzędnym miejscu obok RFN i Anglii. Głównymi odbiorcami broni izraelskiej są rasistowskie rządy RPA i Rodezji.

Głównie sumy pieniężne przeznaczają się w państwach NATO na produkcję nowych rodzajów uzbrojenia, gdyż nowoczesne uzbrojenie szybko ulega moralnemu zniszczeniu. Przeciętą „życia” samolotu bojowego lub rakiety nie przekracza obecnie 5—7 lat. Każdy nowy rodzaj broni jest bardziej złożony i droższy od poprzedniego. Amerykański niszczyciel z okresu II wojny światowej kosztowa-

wał ok. 53 tys. dolarów, natomiast w 1972 r. cena nowego niszczyciela wynosiła już 18 mln dolarów. Bombowiec w okresie II wojny światowej kosztował 218 tys. dolarów, zaś w roku 1972 — 30 mln dolarów, nowy bombowiec „B-1” — 80 mln dolarów, a „Boeing-707” — specjalnie wyposażony samolot superstrategiczny, radiolokacyjny i dowódczy — 180 mln dolarów, lotniskowiec — 100 mln dolarów, a atomowy okręt podwodny typu „Trident” — 1500 mln dolarów. Nowy zachodnoniemiecki czołg „Leopard-2” kosztuje tyle, ile wynosi koszt zbudowania 36 trzypokojowych mieszkań. Jedna wyrzutnia rakietowa „Lancer” równa się kosztowi utrzymania w ciągu roku 37 tys. studentów. Samo przeszkolenie wojskowe batalionu czołgów w Bundeswehrze wynosi tyle, ile kosztuje zbudowanie 23 przedszkoli.

Znaczne wydatki na zbrojenia łożą kraje rozwijające się. W ciągu ostatnich 20 lat wyniosły one 424 mld dolarów, a tempo ich wzrostu jest dwa razy szybsze od tempa wzrostu bazy ekonomicznej tych krajów. Udział krajów rozwijających się w światowych wydatkach na cele wojskowe przekracza obecnie 14 procent. Jest to dla nich ciężar ponad siły i stanowi ogromną przeszkodę w rozwoju gospodarki i kultury, w przeprowadzaniu zakrojonych na szeroką skalę przedsięwzięć społecznych. Coraz większe dostawy broni do wielu krajów rozwijających się, przede wszystkim do tych, w których panują reakcyjne rządy, są dla państw imperialistycznych środkiem służącym do uzależnienia ich od mocarstw neokolonialistycznych.

Forsowany od wielu lat przez państwa imperialistyczne wyścig zbrojeń spowodował, iż na cele wojskowe wydaje się ogromne sumy. Obliczono, że w ciągu ostatnich dwudziestu lat wydatkowano na cele wojskowe ok. 5.500 mld dolarów. Dla porównania warto podkreślić, że ogólna suma pomocy gospodarczej dla krajów rozwijających się, przekazywana kanałami państwowymi, wynosiła w 1976 r. poniżej 10 mld dolarów. Gdyby środki asygnowane na zbrojenia przeznaczyć na cele użyteczne, można byłoby w stosunkowo krótkim czasie podnieść gospodarkę krajów rozwijających się Azji, Afryki i Ameryki Łacińskiej do obecnego poziomu państw rozwiniętych pod względem przemysłowym.

Rezygnacja z wyścigu zbrojeń, a następnie powszechnie i całkowite rozbrojenie, oznaczałoby przeznaczenie ogromnych sum na cele pokojowe. Pozwoliłoby przeznaczyć na potrzeby pokojowe gigantyczne zasoby różnego rodzaju sprzętu wojskowego, którego wartość wielokrotnie przewyższa 500 mld dolarów. Ponadto mogłoby powrócić do pracy w produkcji ponad 25 mln osób, odbywających obecnie służbę wojskową w armiach różnych krajów oraz ponad 25 mln ludzi, którzy w ten czy inny sposób pracują na potrzeby wojska. Wreszcie, można byłoby przestawić na produkcję pokojową przedsiębiorstwa wojskowe wraz z ich wysokokwalifikowanym personelem i nowoczesnym wyposażeniem oraz włączyć do zadań pokojowych kadry naukowe, które obecnie opracowują projekty dla wojska.

Nieustanny wyścig zbrojeń państw imperialistycznych zmusza kraje socjalistyczne do wzmacniania zwartości i umacniania gotowości bojowych ich armii, w celu zabezpieczenia pokoju i bezpieczeństwa. Główną rolę w tym względzie odgrywa Armia Radziecka, która wyposażona w najbardziej nowoczesny sprzęt bojowy, skutecznie paraliżuje zapędy kół zimnowojennych. Państwa socjalistyczne są zdecydowane w dalszym ciągu prowadzić działalność zmierzającą do zahamowania wyścigu zbrojeń, do uzupełnienia odprężenia politycznego odprężeniem militarnym. Od rozwiązania problemu wojny i pokoju zależą przecież losy postępu społecznego na całym świecie. Polityka Związku Radzieckiego i innych krajów socjalistycznych, nastawiona na umocnienie bezpieczeństwa zbiorowego, uwzględniając interesy wszystkich narodów, wywiera pozytywny wpływ na przebieg tego procesu.

O INTELIGENCJI U NAS

Kiedy przed kilkoma dniami w warszawskim Pałacu Kultury i Nauki przeglądałem różnorodne nowości naukowe, niemal przypadkiem wpadła mi do ręki książka, która natychmiast zatrzymała mnie. Jest to licząca niewiele ponad sto osiemdziesiąt stron druku monografia radzieckiego autora Nikołaja I. Bucharina, zatytułowana: „Inteligencja Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej”. Została ona ogłoszona pod koniec zeszłego (1977) roku przez Instytut Ekonomiki Światowego Systemu Socjalistycznego Akademii Nauk ZSRR i ukazała się w moskiewskim wydawnictwie Nauka w niewielkim nakładzie 1900 egzemplarzy. Jak autor radziecki spogląda na naszą współczesną inteligencję? Jak potrafił scharakteryzować jej prawidłowe, a jednocześnie specyficzne, czysto polskie cechy? Jak ocenił miejsce tej grupy społecznej w przemianach polskiej rzeczywistości?

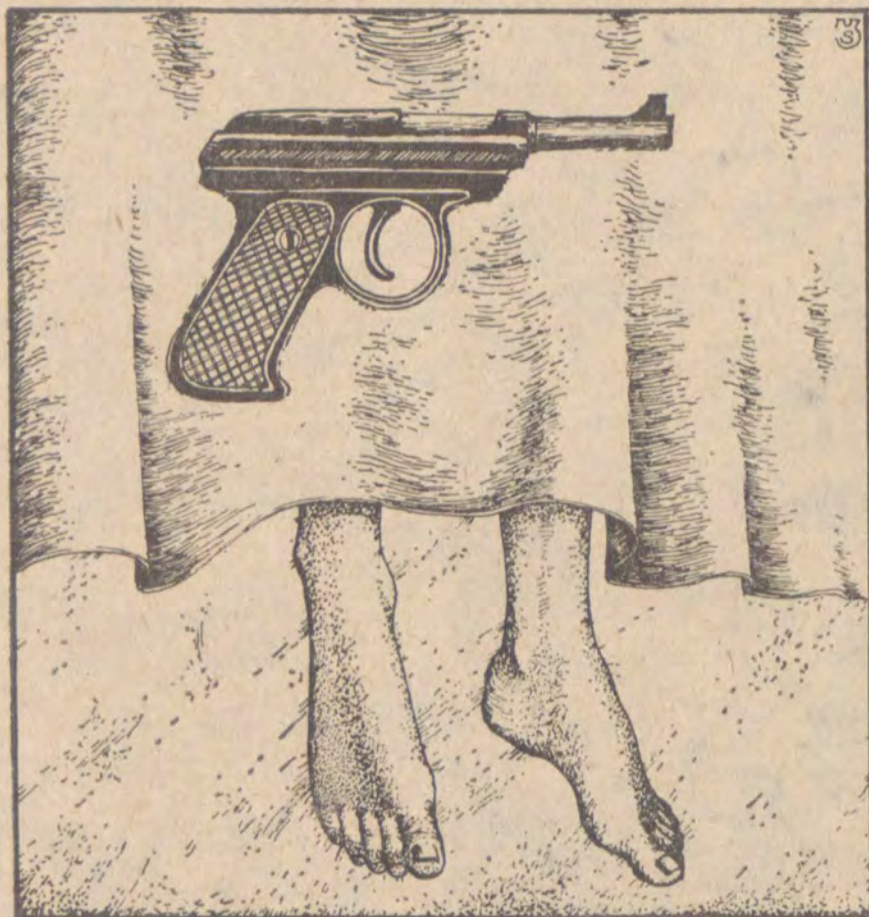
Odpowiedź na te i cały szereg innych jeszcze pytań zależy w znacznej mierze od podstawy informacyjnej, wykorzystanej przez autora. N. I. Bucharin okazał się badaczem solidnym: zgromadził wiele informacji z najrozmaitszych źródeł, poczynając od materiałów statystycznych, przez źródła odnoszące się do naszego życia społecznego i politycznego, materiały prasowe, i wreszcie wszelkie polskie naukowe publikacje, dotyczące zagadnień inteligencji w naszym kraju. Napisał pracę o charakterze bardziej politologicznym, aniżeli socjologicznym, w której, niejednokrotnie odwoływał się do historii.

Przedmiotem rozważań N. I. Bucharina było kształtowanie się i rozwój nowej, socjalistycznej inteligencji w naszym kraju w okresie Polski Ludowej oraz rola partii w tych procesach. Autor przytaczając obfity materiał faktów rozważał zagadnienia tempa rozwoju i przemian struktury inteligencji w Polsce w okresie powojennym, zatrzymał się dłużej nad ideowo-politycznymi postawami tej grupy poczynając od lat czterdziestych po siedemdziesiąte, zanalizował znaczenie polityki partii w procesie przemian świadomości i postaw inteligencji. Obszerny, drugi rozdział swojej książki poświęcił w całości prezentacji najważniejszych kierunków, form i metod działalności PZPR w środowiskach inteligentnych w czasach nam współczesnych, ukazując przy tej okazji ich różnorodny dorobek, mający doniosłe znaczenie dla całokształtu polskiego socjalistycznego społeczeństwa.

Sledząc za tym, co nowe, co zmieniło dawniejsze struktury, niejednokrotnie odwoływał się N. I. Bucharin do historii. Jest zupełnie zrozumiałe, że nie mógł nie podjąć tak niegdyś gorąco dyskusowanego u nas zagadnienia społecznej genealogii dawnej polskiej inteligencji. Idąc za licznymi wypowiedziami autorów polskich podrzymał w całej rozciągłości tezę J. Chajasińskiego o „przede wszystkim szlacheckiej genezie tej grupy społecznej w Polsce”. Cennie zaakcentował specyfikę stosunków polskich, w zestawieniu ze stanem rzeczy, uformowanym zarówno na europejskim Zachodzie, jak w Rosji. Czy jednak, mimo całej sumienności, nie uniknął pewnych przeszkrawień? Wydaje mi się, że tak: mówiąc o pochodzeniu dawnej inteligencji w jej genealogii znalazł wytłumaczenie dla twierdzenia, jakoby była ona „w swej istocie konserwatywna”. Zdania takie padały u nas nie raz, w szczególności w latach obchodów z tradycjami inteligentnymi w pierwszym okresie po II wojnie światowej. Dzisiaj coraz częściej podkreślamy, że w tworzeniu się inteligencji w XIX wieku znaczący udział mieli ludzie wprawdzie szlacheckiej kondycji, tyle że wyrzuceni z siodła, pod względem majątkowym zdeklasowani, z pewnością bliżsi swojej społecznej pozycji rzemieślnikowi i robotnikowi, aniżeli szlachcicowi — posesjonatowi. Nie przypadkiem jeszcze w końcu XIX wieku uformowało się u nas pojęcie „inteligentnego proletariatu”. N. I. Bucharin trafnie podkreślił zróżnicowanie postaw ideowych środowisk inteligentnych w ubiegłym stuleciu, ale mimo wszystko — skoro nie podjął głębszej refleksji nad jej społeczną rekrutacją — nie uniknął pewnych uproszczeń. Z nich to wyniknął akcent niedoceniania znaczenia tendencji demokratycznych w tej grupie społecznej w okresie międzywojennym, a co za tym idzie i ucieleśnienie środowisk inteligencji lewicy i lewicy rewolucyjnej pod koniec lat trzydziestych. Bez szerszego kontekstu społecznego — te ważne fakty, o których autor mówi, wiszą niejako w próżni politycznej. Są to oczywiście sprawy dyskusyjne, co do których i literatura polska nie posiada jednolitego zdania, niezmienne trudne do zobiektywizowania, zwłaszcza dla badacza — obokrajowca, nawet tak dla nas żyjącego i tak dobrze znającego naszą kulturę, jak N. I. Bucharin.

ANDRZEJ F. GRABSKI

co rzeczywiście wydarzyło się w więzieniu w Stammheim?



Zachodniemieckie pismo „DIE ZEIT” powraca do tragicznych wydarzeń, jakie rozegrały się w stuttgartzkim więzieniu Stammheim w nocy z 17 na 18 października 1977 roku. Autor artykułu, Karl-Heinz Jassen, nie podważa oficjalnej wersji wydarzeń. Gromadzi jednak te fakty, które muszą budzić wątpliwości, a tym samym poddaje w wątpliwość wersję przyjętą i ogłoszoną przez władze Badenii-Wirtembergii.

Daleko od Stammheim, w jednym z miast Szlezvika-Holsztynu, redaktor Deutsche Presse-Agentur wyrywał ze snu telefon „w noc Mogadysz”. Meski głos żądał przez telefon, żeby natychmiast za pośrednictwem ZDF (drugi program telewizyjny) przekazać wiadomość, że Andreas Baader i Gudrun Ensslin nie żyją. Zanim jeszcze dziennikarz DPA mógł postawić pytania, nieznajomy informator odwiesił słuchawkę.

Kiedy nastął dzień, o godz. 8.58 Deutsche Presse-Agentur poinformowała ze Stuttgartu:

„Terrorysty: Andreas Baader i Gudrun Ensslin, skazani na kary dożywotniego pozbawienia wolności, odebrali sobie życie we wtorek rano w więzieniu Stuttgart-Stammheim. Wiadomość tę podało Ministerstwo Sprawiedliwości Badenii-Wirtembergii”.

Ponadto ministerstwo zakomunikowało, że Jan-Carl Raspe i Irmgard Moeller próbowali popełnić samobójstwo i zżeli ich zagraża niebezpieczeństwo. Dopiero krótko po jedenastej odpowiedział ludzi w Stuttgarcie zdobyli się na oświadczenie, że Baader i Raspe zastrzelili się z pistoletów, pani Ensslin się powiesiła, a pani Moeller chciała się zabić nożem.

od tyłu? W dodatku prawą ręką, jeżeli jest mafikutem?

— Czy ktoś chciałby się zabić tępy nożem, jeżeli miał ostry noż do papieru?

„NOC CAŁKIEM NORMALNA”

Samotnie czuwa urzędnik nad czterema więźniami na 7 piętrze więzienia Stammheim. Asystent sądowy Hans Rudolf Springer, w dodatku zatrudniony dorywczo. Sam z więźniami, tej nocy, w której upływa ultimatum porwawczy samolotu! W nocy, w której musi się rozstrzygnąć, czy Helmut Schmidt narazi życie 86 zakładników — mężczyzn, kobiet, dzieci — czy też uwolni raczej więźniów, w tym pięciorgo ze Stammheim: troje z tak zwanego „zasadniczego rdzenia” grupy Baader-Meinhof — Baadera, Ensslin i Raspego — oraz dwie kobiety: Irmgard Moeller i Verena Becker.

— Wieczór był właściwie całkiem normalny — wspomina urzędnik... O godz. 23.00 Springerowi złożyli wizytę dwaj koledzy z warty wewnętrznej w budynku, którzy muszą kontrolować wszystkie piętra lewego skrzydła budynku. Trzy razy w nocy — o jedenastej, o drugiej i o piątej — muszą się zameldować u urzędnika pełniącego służbę nocną na III oddziale i sprawdzić, czy wszystko w porządku. Razem z nimi przychodzi po raz pierwszy regularnie sanitariusz, który terrorystom musi podać leki.

Urzędnicy tylko w piątkę mają prawo zbliżyć się do cel o godz. 23. Do wartownika Springera, obu urzędników warty wewnętrznej i sanitariusza przylączyła się Renate Frede, która tej nocy odpowiedzialna jest dodatkowo jeszcze za osiem kobiet po drugiej stronie, w tym za Verena Becker. Tylko z przezroczności drzwi na korytarz, ponieważ więźniarki Ensslin i Moeller mogą ewentualnie jeszcze wyrazić jakieś życzenie.

Z chwilą kiedy piątkę wchodzi na korytarz, dostaje się w zasięg monitorów. W kabinie wartowniczej i u urzędnika na dole w wartowni przy bramie zaczyna dzwonić urządzenie alarmowe („jak gong dzwoni alarmowego”). Równocześnie na monitorach w izbach wartowniczych zapala się lampa. Tam siedzi o tej godzinie sekretarz główny, Horst Gellert, który za pośrednictwem swoich aparatów telewizyjnych może obserwować nie tylko mury zewnętrzne zakładu, lecz również korytarz przed celami terrorystów. Przez cały czas przekazywana lekarzom dźwięczy urządzenie alarmowe.

Obitymi płytami zatyka się znów drzwi i konwoj urzędników znikają. Pani Frede może się położyć spać. Springer siedzi ponownie przed swoimi monitorami i słucha muzyki z radia. W Mogadysz członkowie Grenzschtutzu przygotowują się właśnie do szturm na „Landshut”. Chwila po wpół do pierwszej Springer słyszy wiadomość o uwolnieniu zakładników, a także o tym, że trzej porwawcy nie żyją.

Wiadomość ta podrywa go na nogi. Przechodzi kilka razy do tylnego skrzydła, żeby zbadać, czy ewentualnie inni więźniowie nie wołają czegoś do siebie, ponieważ oczywiście wielu więźniów nastawilo swoje radia prywatnie i czekało na rozstrzygnięcie w Mogadysz. Urzędnik przedstawia także uszu przy kracie traktu terrorystów. Nigdzie nie słyszy żadnego dźwięku. Następnie otwiera okno — jakiś więzień mógł głośno nastawić radio, żeby było słychać na dziedzińcu na zewnątrz. Znowu nic nie słyszy. Wszyscy czterej urzędnicy w lewym budynku nie słyszeli żadnego wrzasku głośników radiowych, który odbijał się ponoć od ścian budynku zarządu, jak informowali reporterzy „Sternu” w swojej książce. A już tym bardziej nie wiedzą o świetowaniu Mogadysz przez urzędników zakładu penitencjarnego, o którym pisała później prasa.

A strzały? Tak, coś tam było. Między wpół do drugiej, a drugą jakiś urzędnik z warty wewnętrznej słyszy „głuche uderzenie” — jakby zostało zastrzaśnięte okno. Nie pomyślał o strzale. Również Springer, który siedzi najbliższej terrorystów, nie mógł niczego słyszeć, o czym przekonał się później deputowani z komisji śledczej, w czasie prób z oddawaniem strzałów na siódmym piętrze.

Kiedy Horst Gellert o godz. 6.30 kończy swą służbę w wartowni przy bramie, jest zdania, że była to noc taka jak każda inna. Mniej więcej w dwadzieścia minut później, jeden z urzędników z rannej zmiany przebywa właśnie w swojej kabinie na czwartym piętrze, kiedy słyszy strzał. Sądzi, że to na zewnątrz, a nie wewnątrz, strzał. Wtedy właśnie w celach poniżej traktu terrorystów śpią wszyscy twardym snem — żaden nie słyszy strzałów z pistoletu, ani trzech strzałów w celi Baadera, ani w celi Raspego.

— Jak mogła broń palna, a nawet materiał wybuchowy znaleźć się w „najbezpieczniejszym więzieniu świata”?

— Dlaczego jej nie znaleziono mimo najsurowszych kontroli?

— W jaki sposób mogli więźniowie, mimo zakazu utrzymywania kontaktów, dowiedzieć się o wyniku dramatu z zakładnikami w Mogadysz?

— Dlaczego nie można ustalić nawet godziny śmierci?

— Czy kto może sam zastrzelić się

CZARNE LIMUZYNY NA PODWÓRKU?

W relacjach prasowych pojawiły się osnute legendy schody pożarnicze, klatka schodowa, z której na każdym piętrze prowadzi drzwi bezpośrednio do traktu z celami. W razie niebezpieczeństwa pożaru można tymi schodami dostać się na dziedzińiec. Drzwi te otwierają się tylko z zewnątrz. Na siódmym piętrze dostęp do nich jest ponadto zabezpieczony elektrycznie. Gdyby to zabezpieczenie zostało wyłączone, albo unieszkodliwione, trzeba by było jeszcze wyeliminować urządzenia alarmowe monitorów, jeśliż niepowołani chcieli się dostać na korytarz.

Jest co prawda „do pomyslenia” — jeśli posłużyć się słowami adwokata Schilly’ego — że oddział specjalny wieczorem daje się zamknąć na klatce schodowej, nocą wlatuje się na trakt terrorystów, a przed świtem znowu zostaje wypuszczony z budynku. Jednakże wówczas musiałoby być wtajemniczonych w to przynajmniej dwóch urzędników więzienia. Wymagałoby to ponadto skomplikowanych i ryzykownych przygotowań i uzgodnień — w końcu przecież plan służby na tę noc został już wywieszony 12 października.

Co prawda jakiś więzień dostrzegł podobno na dziedzińcu więziennym jakiś pojazd cywilny, według innej wersji trzy czarne limuzyny, które wjechały na dziedzińiec 17 października około godz. 16. Faktycznie zeznał coś takiego przed prokuratorem. Tyle tylko, że po paru dniach sprostował swoje wyjaśnienia: Mylił się, jego spostrzeżenia pochodziły już z nocy z 15 na 16.

RANO NASTĘPNEGO DNIA

Zgodnie z przepisami, śniadanie można było wydawać dopiero wówczas, jeżeli obecnych było co najmniej czterech urzędników mężczyzn... Mniej więcej o 7.40 urzędnicy sądowi: Willi Stapf i Gerhard Stoll — obaj od niedawna na oddziale III — pojechali wózkami ze śniadaniem przed celę 716. O 7.41 Stoll otwiera normalny zamek u drzwi Raspego. Obaj urzędnicy mieli dziwne uczucie, ponieważ więzień nie stał jak zwykle u drzwi. Ich koledzy — Miesterfeldt, pani Frede, asystent sądowy Ernst Hermann — pozostali parę kroków w tyle. Ledwie Stoll zerknął do oświetlonej celi, natychmiast zawołał Miesterfeldta:

— Chodź tu. Spójrz, coś się dzieje! To, co tych pięciorgo ujrzało z korytarza, czy też stojąc w drzwiach, sprawiło, że zamarli: Raspe siedział bez ruchu na swojej pryczy, plecami do ściany, z głową przechyloną na prawo. Ślad krwi był widoczny na uchu.

Wszyscy działali pod przymusem zakazu kontaktów: inni więźniowie nie mogą za żadną cenę dowiedzieć się o tym, co się stało. Mieli jednak jeszcze coś przed oczyma: Ową dzielną ranek, w maju 1976 roku, kiedy tu, na siódmym piętrze, znaleziono powieszoną Ulrikę Meihof, w jej celi. Wówczas zbyt wiele ludzi tłoczyło się koło tej celi. Od tego czasu nie umilknie zarzut, że miejsce przestępstwa zostało zmienione, a ważne dowody usunięte.

Najpierw musi przyjść urzędnik najwyższej rangi. Jest nim inspektor Erich Goetz, kierownik dozoru nad wizytami, który miał zapobiec przemyceniu broni palnej. Z dwoma sanitariuszami i jeszcze jednym urzędnikiem biegnie na górę. O godz. 7.44 nakazuje ponownie otworzyć celę. Teraz też zachowana zostaje ścisła hierarchia urzędnicza. Christoph Listner, sanitariusz wyższej rangi, dokonuje oględzin Raspego nie poruszając go. Krew płynie mu z ust, uszu, nosa. Pod oczyma wylewy krwawe wielkości pięści dziecka. Kolega Edgar Jost musi natychmiast wezwać karetę Czerwonego Krzyża. O zakazie kontaktów nikt w tej chwili nie myśli.

I wtedy dostrzegają też broń, w e-kalibrowy pistolet (9 mm) marki „Heckler und Koch”. Leży luźno w zamkniętej prawej ręce; palce nie są już na spuszcze, grzbiet dłoni skierowany jest w górę. Lufa pistoletu wycelowana jest pod niewielkim kątem w kierunku uda.

— Przecież on jeszcze żyje — wykrzykuje Goetzowi. — Na wszelki wypadek zabiorę pistolet.

Chusteczka chwyta lufę od przodu i wyciąga broń. Wtedy zapewne przesunęła się ręka Raspego i otworzyła. Najwyraźniej nie ma krwi na pistolecie, ponieważ kiedy Goetz później ogląda swą chusteczkę, jest ona jeszcze całkiem biała. Miesterfeldt musi dla niego szybko przynieść ściągaczkę z kuchni, w którą zawija broń. Dla zabezpieczenia śladów było to błędne. Jeżeli w ogóle na pistolecie znajdowały się jakieś odciski palców, które byłyby do spożytkowania — zostają łatwo zamazane wskutek pocenia się

sprawcy, albo jest ich brak, ponieważ broń została poprzednio wytarta — to pozostały na ścierce.

Chowając broń, Goetz zauważa, że w lufie utknęła łuska naboju... Rzecz zastanawiająca, że brakuje obudowy rękojeści (urzędnicy policji kryminalnej ustalili później, że broń tylko w ten sposób pasowała do próżni w rogu celi, zasłoniętej przylepcem plastikowym, wydrapaną w tynku. Ale gdzie obudowa? Na materacu Raspego rozrzuconych jest siedem naboju i rezerwowego magazynek z trzema nabojami. W jakim celu?

O godz. 8.09 ciężko ranny zostaje przewieziony na sygnale i pod eskortą policyjną do szpitala Katarzynka. Inspektor Goetz udaje się natychmiast do szpitala; dla bezpieczeństwa zabiera ze sobą nadsekretarza Stolla. Obaj są świadkami nagłej operacji i są świadkami śmierci Raspego o godz. 9.40.

Goetz zlecił pozostałym na miejscu urzędnikom, aby uważali na inne cele. Kiedy około godziny ósmej radca rządowy Bernd Buchert zjawia się przed celą Raspego, jest ona znowu zamknięta. Każe ją raz jeszcze na moment otworzyć. Do tego czasu musiało przebywać w celi już co najmniej dziesięciu urzędników sądowych i sanitariuszy. Z chwilą, kiedy Raspego załadowano do karetki pogotowia, biegnie na siódme piętro dla wzmożenia personelu urzędnik doprowadzający, Eugen Wehr. Przychodzi akurat w porę, kiedy jego kolega, Muenzing, otwiera drzwi do zaciemnionej celi Baadera, do której tylko z korytarza wpada nieco światła. Jest godzina 8.07 — od znalezienia Raspego minęło blisko trzydzieści minut. Wehr słyszy, jak ktoś woła:

— Popatrz, mamy tu niespodziankę, tu leży inny pistolet.

Baadera znajdują wyciągniętego na podłodze, w kałuży krwi — mniej więcej metr od drzwi. Usta ma otwarte, oczy nieruchome, utkwione w górę. Soukop mierzy puls.

— Ręka była, moim zdaniem, już lodowata. Wystąpiło już stężenie posmiertne.

Przypadek zrzadził, że główny lekarz więzienny, dr Helmut Henck, jest na zwolnieniu chorobowym. Zamiast niego zjawia się dziesięć po ósmej jego zastępca dr med. Władysław Majerowicz już w białym kitlu zawieszonym stetoskopem. Sprzeczne są zeznania na ten temat, w jakiej celi najpierw zaczął działać. U Baadera skontrolował gołą ręką oczy, oddech i temperaturę ciała; rozchylił także koszulę w okolicy serca. 60-letni Majerowicz, który uważa, że ma doświadczenia ze zwłokami, od czasu, kiedy był lekarzem wojskowym w Polsce, orzeka nieodwołalnie, że Baader musiał umrzeć mniej więcej między 6 a 7 rano. Do aktu zgonu — tak twierdzi adwokat Shilly — wpisał też tę godzinę śmierci, łącząc z diagnozą — „samobójstwo”.

Urzędnicy, ogarnięci zlymi przecuciami, biegną do przeciwnego celi nr 720, zajmowanej przez Gudrun Ensslin, Muenzing (czy Miesterfeldt?) otwiera; radca rządowy Buchert zwraca się do sanitariusza Soukopa, aby wszedł i tu. Jest godz. 8.08. Cella Gudrun Ensslin jest pogrążona w mroku. Może więźniarka leży za parawanem? Soukop zagląda. Odwraca się od okna — tam wisi ona za kochem, tylko stopy widać od spodu, obok krzesła. Sanitariusz uchyła nieco koci, kiedy dr Majerowicz jest już też na miejscu. Chwyta Ensslin za rękę:

— Była zimna jak kamień. I tym razem lekarz i trzej sanitariusze w pośpiechu rezygnują z pomiaru temperatury ciała. Zatraca się w ten sposób ważne dane dla określenia momentu zgonu.

Pulk urzędników pobiegł tymczasem do celi 725. Jest około godz. 8.10. Irmgard Moeller, w dżinsach i bluzce leży skulona na boku, na materacu, twarzą do ściany, pod koldrą naciągającą aż pod brodę. Sanitariusz Soukop słyszy, jak leży, ściga koldrę. Sądzi na razie, że otworzyła sobie tętnicę, ponieważ obie ręce są pełne krwi. Podciąga następnie zakrwawioną czarną koszulkę i dostrzega rany klute powyżej piersi, w okolicy serca. On i jego kolega mierzą puls i ciśnienie. Następnie przeprowadza dalsze badania dr Majerowicz, robi zastrzyk. Stan nie ulega zmianie, nie ma już życia. Utrata krwi niezbyt duża, rany ocenia jako nieznaczne nakłucia. Pół metra od posłania sanitariusze znajdują poplamiony krwią nóż więzienny — normalny, zaokrąglony u góry nóż z pilką, a nie nóż do krojenia chleba, jak to twierdzi jeszcze tego popołudnia minister sprawiedliwości, Bender.

Irmgard Moeller oświadczyła później, że rano, mniej więcej około w pół do piątej, nagle straciła przytomność i donioło odzyskała ją na korytarzu, kiedy zakrwawiona, jęcząca i marznąca leżała na noszach. Sanitariusze i lekarz twierdzą natomiast, że pani Moeller już na swym posłaniu w celi miała pełną świadomość. W czasie badania zrenic zaciskała oczy i bez przerwy wydawała jęki.

